

Ramadanowe ciasteczka

Od czasu kiedy nie jesteśmy studentami nie możemy sobie pozwolić na wyjazdy dłuższe niż 2 tygodnie. W tym roku postanowiliśmy spędzić dwutygodniowy urlop w Tunezji. Dlaczego tam? Z Bardzo prozaicznych powodów, chcieliśmy aby było ciepło i niedrogo... więc musiało paść na Tunezję i naprawdę było warto. Po raz pierwszy skorzystaliśmy z oferty biura podróży i wykupiliśmy pełną ofertę, a na miejscu sami zwiedzaliśmy co chcieliśmy, tak jak to mamy w zwyczaju, czyli na własną rękę.

12.10.2006 (czwartek)

Pobudka o 4:30 rano. Nie ma to jak poranne wstawanie. W gęstej mgłę jedziemy autobusem na lotnisko w krakowskich Balicach. Ciekawe czy mgła opadnie do godziny 8:40 na którą zaplanowany jest odlot samolotu do Tunezji. Na lotnisku jesteśmy na 2 godziny przed odlotem. Mimo wczesnej godziny na lotnisku sporo osób czeka na poranne loty. Z tablicy już widać, że praktycznie nic nie lata z powodu mgły. Od przedstawiciela biura odbieramy dokumenty podróży i stajemy do odprawy. Przy stanowisku odpraw jesteśmy jako pierwsi i dzięki temu sprawnie załatwiamy miejsca przy oknie w samolocie, ważymy nasze plecaki. Piękny wynik, mamy razem 25 kg bagażu. Przy okazji dowiadujemy się, że nasz samolot leci z Warszawy z częścią osób, która wsiada właśnie w stolicy. Dalej idziemy do kontroli bezpieczeństwa - przechodzimy przez bramki. Kiedy przechodzę bramka piszczy, wyciągam metalowe rzeczy, a bramka dalej piszczy. W końcu okazuje się że to sprzączki od sznurówek w butach, no i przechodzę przez bramkę w skarpetkach. Wszystko gra. Na końcu odprawa paszportowa i jesteśmy w pomieszczeniu, gdzie czekać będą wszyscy na nasz wylot. Przez szybę obok, widać jak dokładnie kontrolowane są osoby lecące porannym lotem do Londynu. Co niektórzy na przedce wypijają napoje, bo nie można ich ze sobą zabrać na pokład.

W poczekalni powoli rośnie liczba osób oczekujących na czarter do tunezyjskiego Monastiru. Przez okno można zobaczyć płytę lotniska spowitą gęstą mgłą, która jakoś nie zamierza go opuścić. Dalej nic nie ląduje, ani nie startuje. Samoloty czekają na płycie lotniska, te bliższe widać, a te dalsze tylko majaczą w oddali. Co chwilę podają komunikaty o wszystkich lotach, ale o naszym ani słowa, tak jak kiedyś gdy lecieliśmy do Egiptu. Około godziny 9 mgła opada na tyle, że na płycie lotniska robi się ruch. Startują i lądują opóźnione samoloty tanich linii lotniczych oraz samolot czarterowy do egipskiego kurortu Hurghada i przez naszą salę przetacza się tłum osób wyjeżdżających do Egiptu, a my dalej czekamy. Paweł z nudów robi zdjęcia samolotom.

Przed 10 pada w końcu upragniony komunikat, że samolot do Monastiru wyląduje o 10:30. Wśród oczekujących wywołuje to znaczne poruszenie. No i w końcu ląduje, a my wsiadamy. Lecimy prywatnymi czarterowymi liniami tunezyjskimi Nouvelair. W samolocie mamy 6 rząd czyli idealny widok przez okno. Praktycznie wszystkie miejsca są zajęte w samolocie, a jest ich około 180. Startujemy i po kilku sekundach ziemię oglądamy z wysokości. Przez cały lot lecimy na wysokości 11 tysięcy metrów, z prędkością około 900 km/h, a za oknem jest minus 56 stopni Celsjusza. W samolocie znajdują się ekraniki na

których przez cały lot można śledzić wszystkie parametry jak wysokość lotu, temperaturę czy trasę lotu. Kilka minut po wylocie naszym oczom ukazują się Tatry, które przebijają się przez chmury. Z głośników sączy się arabska muzyka, a w międzyczasie dostajemy drugie śniadanie. Z nosem przyklejonym do okienka czekam na jakieś ładne kłębiaste chmury i oglądam kontury lądu. Czas mija szybko, za nami zostaje Półwysep Istria, Adriatyk, Morze Tyrreńskie i po 2,5 godzinach lotu docieramy nad Afrykę i Tunezję, gdzie głównym elementem krajobrazu są regularne plantacje drzew oliwnych. Lądujemy w Monastirze. Uff ale gorąco, od razu palą mi się stopy w jesiennych butach. Wszyscy po kolei pozbywają się ciepłych ubrań. Przechodzimy przez odprawę, zabieramy bagaże i idziemy do stanowiska biura podróży Oasis. Rezydentka przydziela odpowiednie autokary lub busy. My jedziemy busem wraz z 2 innymi osobami. Tylko tyle nas będzie w tym hotelu z całego samolotu. No to jesteśmy w Tunezji...

Tunezja leży w Afryce północnej nad Morzem Śródziemnym. Linia brzegowa kraju jest dobrze rozwinięta, w ląd wcinają się liczne zatoki. Największe z nich to: zatoka Tuniska, Hammamet i Mała Syrta. Północne wybrzeże jest wysokie, strome i skaliste, natomiast wzdłuż wybrzeża wschodniego ciągną się piaszczyste plaże. W zatokach jest wiele wysp i wysepek m.in. największa i najbardziej znana – Dżerba oraz grupa wysp Kerkenna (Chergui i Gharbi).

Obszar państwa jest wyraźnie podzielony na dwie części: północną – górzystą oraz południową – równiną. Na północy znajdują się wschodnie krańce Atlasu Tellskiego i Saharyjskiego. Tworzą one dwa równoległe do siebie położone pasma Gór Tunezyjskich oraz Tebessa, z najwyższym szczytem Dżabal asz-Szanabi (1544 m. n.p.m.). Pasma te rozdziela urodzajna wypełniona osadami rzeczny dolina rzeki Madżara. W kierunku południowym góry powoli obniżają się przechodząc w przybrzeżną równinę zwaną Sahelem Tunezyjskim. Między obszarem górskim a równiną znajduje się region zwany Stepem Tunezyjskim. To rozległe obniżenie, w którym leży wielka depresja, będąca pozostałością po dawnej zatoce morskiej. Występują tu wysychające okresowo wielkie jeziora, zwane szotami. Największy z nich to Szott el – Dżerid. Południową krainę równin obejmuje pustynna wyżyna Dahar, z niewysokimi pasmami górkami Ksour i Demer (700 m. n.p.m.). W kierunku wschodnim rozciąga się nadbrzeżna i lekko pofałdowana nizina Dżafara. Natomiast południowy kraniec zajmują wydmy Wielkiego Ergu Wschodniego, które tworzą pustynię Remel El Abiod.

Klimat Tunezji, zwłaszcza w jej północnej części ma charakter klimatu śródziemnomorskiego, gdzie dominują suche i gorące lata ze średnią temperaturą około 28°C. Zimy są łagodne i wilgotne. Średnia temperatura w Tunisie wynosi około 10° C, a śnieg pojawia się tylko w górach na północnym wschodzie. Im dalej na południe tym klimat jest bardziej gorący i suchy. Są tu miejsca gdzie przez kilka lat nie spadnie ani kropla deszczu. Maksymalna odnotowana temperatura to 50°C.

Opad roczny na południu wynosi jedynie 150 mm, przy 1000 mm na północy kraju. Czasem pojawiają się nagle i silne ulewy powodując wiele zniszczeń. Niekorzystny i uciążliwy jest gorący wiatr znad Sahary – sirocco.

Warunki klimatyczne mają wpływ na sieć rzeczną w Tunezji. Stałych rzek jest tu niewiele. Największą z nich jest Madżara o długości 460 km, której źródła zlokalizowane są w Algierii. Drugą większą rzeką jest Mellane. Na południu występują rzeki zwane uedami, które niosą wody jedynie w okresie jesiennie – zimowym, po opadach deszczu. Jezior naturalnych praktycznie w Tunezji nie ma, nie licząc niewielkich zbiorników powstałych w wyniku odcięcia zatok od morza w północnej i środkowej części wybrzeża. Wybudowano tu jednak kilka zbiorników sztucznych, np. Sidi Saad na rzece Zeround, Testour na Madżerdzie. Największe słone jeziora – bagna, czyli szoty, to Dżerid o powierzchni 5 tys. km² i Al – Gharsa. Wśród piasków pustyni spotkać można jednak oazy, które istnieją dzięki dużym zasobom wód podziemnych.

Tunezja jest krajem arabskim, w którym państwową religią jest Islam. 99,4 % ludności to Muzułmanie, pozostałą grupę tworzą lokalne skupiska chrześcijan w większych miastach. W niektórych znajdują się kościoły chrześcijańskie - w sumie około 15 kościołów i kaplic w całej Tunezji. Na Dżerbie znajdują się największe kolonie żydowskie (historia najważniejszej synagogi na Dżerbie - El Ghriba sięga 586 r. p.n.e, gdzie przechowywana jest Tora - jedna z najstarszych na świecie). Podobnie sprawa przedstawia się w przypadku składu etniczno-rasowego. Zdecydowanie dominują tu Arabowie (98%), później Berberowie (1,2%) oraz inni – Włosi, Francuzi i Grecy. Głównym językiem jest język arabski. Ponadto używany jest francuski, przede wszystkim w handlu i szkolnictwie. Natomiast język berberyjski można usłyszeć jedynie w niewielkich wioskach na południu kraju.

Filarem codziennego życia w Tunezji, podobnie jak w innych państwach islamskich, są modlitwy pięć razy w ciągu dnia. Na każdą z nich wierni wzywani są przez śpiew muezina. Najważniejsza modlitwa ma miejsce w piątek w południe połączona z kazaniem wygłaszanym przez imama. Najbardziej znaczącą budowlą w każdym mieście i w każdej wiosce jest meczet wraz z minaretami. Pełni on nie tylko funkcje religijne, do którego schodzą się wierni na modlitwy. Jest również swoistym centrum kultury. Często można tu spotkać grupkę dzieci uczących się Koranu. Życie muzułmanina opiera się na pięciu zasadach, zwanych filarami islamu. Pierwszym i najważniejszym z nich jest Asz Szahada czyli wyznanie wiary “Nie ma Boga prócz Allaha, a Mahomet jest jego Prorokiem”. Drugim jest Salah - modlitwa odmawiana 5 razy dziennie. Trzecia zasada Zaka nakazuje dzielenie się częścią dochodów z ubogimi. Post w czasie ramadanu jest czwartym filarem zwanym Saum. Natomiast piąty filar zwany Hadżdż nakazuje muzułmańskim mężczyznom odbycie przynajmniej raz w życiu pielgrzymki do Świątyni Kaba w Mekce - miejscu urodzenia Mahometa. Rytm życia reguluje w Islamie kalendarz księżycowy – hidżra. Słowo to oznacza ucieczkę Proroka Mahometa z Mekki do Medyny w 622 roku. W dniu tym obchodzony jest islamski Nowy Rok – Ras el Am el Hejn. Dwudniowe święto Eid al-Fitr znaczy koniec okresu postu – Ramadanu. Ludzie zakładają wówczas najlepsze ubrania, aby odwiedzić przyjaciół i znajomych i wymienić z nimi podarunki. Z kolei święto Aid el Kebir upamiętnia gotowość Abrahama do złożenia ofiary z syna. Rok księżycowy trwa o 11 dni krócej niż w stosowanym powszechnie kalendarzu gregoriańskim. Data wszystkich świąt islamskich zmienia się zatem co roku.

W Tunezji żyje ponad 10 milionów osób. Populacja Tunezji to wynik migracji, okupacji i małżeństw mieszanych. Poczynając od Fenicjan, przez Maurów przybyłych z Andaluzji, Francuzów, Włochów itp.

Obecnie ponad 90% ludności uważa się za arabsów, choć zazwyczaj posiada nieco ponad 10% autentycznej krwi arabskiej. Ta identyfikacja związana jest z przynależnością do arabskiej grupy językowej.

Ważną grupę etniczną stanowią Berberowie żyjący w małych społecznościach na południu Tunezji. Dominującym językiem jest Darja - tunezyjska odmiana arabskiego. Na południu ok. 20.000 ludzi mówi w Jerbi - języku berberyjskim. Większość Tunezyjczyków płynnie posługuje się językiem francuskim. W miejscowościach turystycznych bez problemu można porozumieć się również w języku angielskim i niemieckim.

W ciągu ostatniego stulecia społeczeństwo tunezyjskie zmieniło się nie do poznania. Obecnie współistnieją w nim dwa zupełnie odmienne światy: współczesny, prozachodni w dużych miastach oraz tradycyjny w małych miasteczkach i wioskach. Fundamentem tradycyjnego społeczeństwa jest rodzina. Na terenach wiejskich wciąż można spotkać trzypokoleniowe rodziny mieszkające pod wspólnym dachem. Życie towarzyskie kobiet zapewnia głównie rodzina. W dużej mierze dzięki wysiłkom Habiba Burgiby, warunki życia kobiet są w Tunezji nieporównywalnie lepsze niż w jakimkolwiek innym kraju muzułmańskim. Burgiba, którego pierwszą żoną była Francuzka, mocno popierał prawa

kobiet. Po odzyskaniu niepodległości zakazał wielożeństwa, ograniczył małżeństwa aranżowane, a także zniósł obowiązek noszenia hidżabu, czyli zasłony zakrywającej twarz kobiet. Choć obecnie rzadko która kobieta przed trzydziestką zasłania twarz, to na ulicy można spotkać zakwefioną matkę w towarzystwie modnie ubranej córki.

Najstarsze ślady istnienia człowieka na terenach dzisiejszej Tunezji pochodzą z okresu kamienia łupanego. Już 3000 lat p.n.e. na tych terenach zaczęli osiedlać się Berberowie, a około 2000 lat p.n.e. pojawili się również Fenicjanie, którzy założyli słynne miasto - Kartaginę. Stała się ona w końcu potężnym państwem i prowadziła walki z Grekami i Rzymianami. W 146 r. p.n.e. tereny Kartaginy zajęli Rzymianie, którzy na tych terenach stworzyli rzymską prowincję zwaną Africa. W tym czasie powstały tu miasta takie jak: Thuburbo Maius, Dougga czy Thysdrus. W V wieku tereny Tunezji podbili germańscy Wandalowie i był to kres rzymskiego panowania. Wiek później Wandalów podbili Bizantyjczycy, którzy nie potrafili rozsądnie rządzić państwem co wykorzystali arabowie podbijając tereny z końcem VII wieku. Wiek 9 n.e. to lata rozkwitu państwa - nazywano je złotym wiekiem - w którym powstało wiele znaczących budowli m.in. klasztory w Sousse i Monastirze oraz zespół religijny w Kairuanie. Kolejne lata to liczne zmiany rządów, począwszy od 1574 roku kiedy Tunezja stała się częścią imperium osmańskiego, następnie w 1881 roku przeszła pod panowanie Francji. W czasie II wojny światowej na terenach Tunezji toczyły się ciężkie walki pomiędzy wojskami.

Habib Bourgiba był pierwszym w historii prezydentem niepodległej Tunezji. Porównywany jest do afrykańskiego Atatürka, ponieważ zredukował wpływy religii na państwo. Rozszerzył prawa kobiet w życiu społecznym, socjalnym, ekonomicznym i prawnym. Między innymi zakazał małżeństw poligamicznych legalnych w islamie.

Wprowadził takie same prawa do rozwodu (tylko sądownie - nie ma żadnego wypowiedzenia umowy ze strony mężczyzny) oraz praw do dzieci po rozwodzie (według szariatu kobieta ma prawo wychowywać dzieci tylko do 7-9 roku życia, potem opieka należy się ojcu). W tym czasie we Francji (do roku 1970) do wejścia w życie ustawy z dnia 4 czerwca 1970 roku obowiązywała tzw. "puissance paternelle", to znaczy tylko ojcu przysługiwała władza rodzicielska w wypadku rozwodu.

Bourgiba wprowadził również zakaz noszenia przez kobiety nakrycia głowy (hidżab nazywał wstrętną szmatą) w obiektach publicznych jak szkoły, urzędy itd. Bourgiba zainicjował również proces eliminacji ekstremistów i fundamentalistów islamskich.

W 1956 roku zdelegalizował Sądy Koraniczne, a według nowo wprowadzonego prawa cywilnego - Personal Status Code (usankcjonowanego w 1957 roku) od tamtego czasu pod przepisy cywilne podlegają wszyscy obywatele Tunezyjscy nie zależnie od rasy, pochodzenia, religii itd.

Habib Bourgiba z wykształcenia był prawnikiem, studia skończył w Paryżu na Sorbonie. Po powrocie ze studiów założył "Neo destore party", która została zdelegalizowana przez rządy francuskie, a sam Bourgiba został aresztowany za postulowanie niepodległości Tunezji i niezależności od Francji. W 1938 roku został internowany i wydalony do Francji. Pomimo prześladowań ze strony francuskiej podczas II wojny światowej czynnie wspierał obóz aliantów. W 1942 został aresztowany przez Niemców i deportowany do Tunezji. W 1945 pomimo wsparcia udzielonego aliantom musiał uciekać z Tunezji by uniknąć aresztowania. Przez następne 5 lat podróżował i wygłaszał mowy na temat niepodległości Tunezji. W 1950 roku Francja akceptuje negocjacje z Bourgibą i w 1955 roku wraca on do Tunezji. W 1956 roku zostaje premierem rządu niepodległej Tunezji, a rok później zostaje wybrany prezydentem.

W 1987 roku Bourgiba zostaje odsunięty od władzy przez premiera nowego rządu Abidine Ben Ali'ego. Powołane konsylium lekarskie orzekło że Bourgiba nie jest w stanie sprawować dłużej swojego urzędu.

Na początku swoich rządów Ben Ali dążył do demokratyzacji, zwolnił część więźniów politycznych w tym islamskich ekstremistów. Po pierwszych zamieszkach w Algierii, a później wojnie domowej, również nastroje w Tunezji zaczęły się pogarszać, dlatego Ben Ali zahamował proces szybkiej liberalizacji. Zakazał działania partiom politycznym opierającym się w założeniach na religii, jednak uczynił również przyjazny gest w ich stronę - zgodził się na transmisje wezwań do modlitwy w ogólnonarodowym programie telewizyjnym.

Ben Ali kontynuuje politykę Bourgiby dotyczącą praw kobiet oraz wprowadzania mechanizmów wolnorynkowych. W 1995 roku Tunezja jako pierwszy kraj arabski podpisała porozumienie o wolnym handlu z UE.

Pomimo tej pseudodemokracji (Ben Ali był ambasadorem Tunezji w Polsce w latach 80-tych) Tunezja jest najbardziej stabilnym państwem w Afryce. Jedyny znany do tej pory akt terrorystyczny wydarzył się kilka lat temu na Dżerbie, gdzie terrorysta - samobójca starał się wjechać furgonetką wypełnioną butlami z gazem w tamtejszą synagogę.

Na tyle byłoby informacji o kraju, a wracając do naszego wyjazdu... Wskazany przez rezydentkę busik zabiera nas do hotelu w Monastirze. Bus szybko mknie pustymi uliczkami o tak charakterystycznym arabskim brudzie, mijając po drodze również hotele strefy turystycznej położone pomiędzy Monastirem, a Sousse. Załedwie 10 minut jazdy i jesteśmy pod hotelem Esplanade. Dostajemy pokój na drugim piętrze z widokiem na morze. Hotel nie najnowszy, ale położony jest idealnie - w pobliżu plaży (wystarczy przejść przez ulicę) i 5 minut od murów medyny. Pokój jest ładny, jedynie łazienki przydałby się remont, a fontanna z kranu tylko nas w tym upewnia. Rozpakowujemy się i idziemy na mały rekonesans. Jak na hotel który ma dobre 100 pokoi, uderza nas zadziwiająca cisza. Na terenie hotelu znajdują się 2 baseny jeden otwarty, a drugi zadaszony niczym cieplarnia. Po obejrzeniu z grubsza hotelu idziemy przejść się do medyny. Rzeczywiście jest blisko i już na samym początku jesteśmy zaczepiani przez licznych sprzedawców oraz taksówkarzy, jednak mamy już wprawę w odganianiu się od natrętów. W medynie na licznych straganach pojawiają się dzbanki, jak w Maroku, ale nie pytam na razie o ich cenę, żeby się to źle nie skończyło. Przyjdzie na to czas. W restauracjach albo nikogo nie ma, albo są zamknięte na cztery spusty. Jest Ramadan... Trzeba będzie się jakoś do tego przyzwyczaić. Po drodze idziemy wymienić pieniądze, zlokalizować dworzec kolejowy i autobusowy. Ku mojemu zdziwieniu wynika problem z czasem. W samolocie informowano nas, że czas różni się o godzinę wstecz i przestawiliśmy w związku z tym nasze zegarki. Jednak chodząc po centrum Monastiru widzę zegary wskazujące czas identyczny do tego w Polsce. Po powrocie do hotelu pytamy recepcjonistę o godzinę, potwierdza że jest ten sam czas co w Polsce. Hmm... ciekawe dlaczego więc w samolocie mówili co innego? Jednakże dzięki temu do pierwszego posiłku w hotelu pozostaje nam raptem pół godziny, co nas cieszy, bo jesteśmy głodni. W hotelu dalej cisza. Przy otartych drzwiach balkonu słychać nawoływanie muezina na wieczorną modlitwę:

*„Allahu Akbar, Allahu Akbar
Aszhadu alla ilaha illa'llah
Aszhadu anna Muhammad rasulu'llah
Hajja ala as-sala”*

Co oznacza:

„Bóg jest wielki
Nie ma Boga prócz Allaha
Muhammad jest wysłannikiem Allaha
Szybko chodźcie na modlitwę.”

W restauracji hotelowej dosłownie kilka osób. Są też Ania ze Sławkiem – para, która przyleciała tym samym samolotem co my. Przyjechali na tydzień więc już dzisiaj zaczęli zakupy, a że pierwszy raz w kraju arabskim to łatwo ich wciągnąć w targowanie. Obiadokolacja to szwedzki stół, a tam do wyboru: kurczak, kielbaski merguez w sosie z papryk, ryż z kurkumą, soczewica, fasolka, ogórki, pomidory. Mniem dobre. Po obiedzie czas na krótką rozmowę i wracamy do naszego pokoju, bo to jednak był długi dzień...

13.10.2006 (rety piątek!!!)

Wstajemy o 8 rano i pędzimy na śniadanie. Heh pojawia się nieśmiertelny, a znany z Egiptu – supersłodki dżem figowy. Są ogórki i pomidory, jakaś kielbaska i jajka na twardo. Do tego kawa, herbata lub kakao.

Potem idziemy do medyny wymienić większą gotówkę przed weekendem, bo bank będzie zamknięty. Dinary tunezyjskie dzielą się na tysiąc części tzw. milimy. W obiegu są monety 5 (właściwie bezwartościowe), 10, 20, 50, 100, 500 milimów oraz banknoty 5, 10, 20 i niespotykane gdzie indziej 30 dinarów. Notabene tych ostatnich nie widzieliśmy.

Monastir - w średniowieczu mawiano, że wizyta w Monastirze była pierwszym krokiem w drodze do raj. Dziś miasto może nie jest przedsiionkiem raj, ale plaża, wspaniały ribat i mauzoleum Habiba Burgiby zdecydowanie zasługują na obejrzenie. Monastir powstał jako fenicka placówka handlowa Rous, w cieniu swego większego i słynniejszego sąsiada Hadrumete (obecnie Sousse). Miasto zaistniało na krótko w 46 r. p.n.e., gdy Juliusz Cezar założył tu bazę przed rozgromieniem w bitwie pod Thapsusem oddziałów Pompejusza stacjonującego w Sousse. Niedługo potem przeszło w ręce Rzymian jako osada o nazwie Ruspina. Jest to rodzinne miasto pierwszego prezydenta niepodległej Tunezji - Habiba Burgiby, który aż do śmierci w kwietniu 2000 r. mieszkał na przedmieściach. Najlepsza jest główna plaża obok route de la Corniche, po przeciwnej stronie ribatu - wychodząc z morza, staje się na wprost jego potężnych murów. Na południu, na wyspie El-Kebira połączonej z lądem groblą, można znaleźć mniejszą i spokojniejszą plażę. Ładne wybrzeże na zachodzie miasta zdominowały hotele strefy turystycznej.

Centrum medyny oraz wschodnią część murów obronnych zniszczono po odzyskaniu niepodległości, gdy zaczął się szalony pęd do modernizacji miasta. Jedyne ocalałe obiekty to ribat i Wielki Meczet z IX w. Jest to typowa surowa budowla aghlabidzka, w północnej części urozmaicona pełnymi wdzięku łukami w kształcie podkowy. Wspierają się one na rzymskich kolumnach, pochodzących ze starożytnej osady rzymskiej Ruspina, która kiedyś istniała w tym miejscu. Pozostałe kolumny umieszczono w sali modlitewnej, gdzie osoby innych wyznań nie mają wstępu. Renowacją objęto także nowszą, zachodnią część medyny. Mury, które udało się uchronić przed zniszczeniem, mają ciekawe wiekowe bramy. Najładniejsza z nich to Bab el-Gharbi w środku zachodniej części muru, wzniesiona w XV w. przez Hafsydów. Bab Tunis, w północno-zachodnim rogu, powstała w 1780 r. podczas rozbudowy medyny. Główną bramę południową, Bab Briqcha, zbudowali Turcy osmańscy pod koniec XVII w.

Odwiedzamy także miejscowy market, gdzie za niebieską zasłoną odkrywamy pokaźną szafę z butelkami alkoholu. Trzeba pod nią zanurkować i coś sobie wyjąć. Oczywiście muzułmanom nie wolno, bo jest Ramadan. Jak już jesteśmy przy temacie Ramadanu... Przed wyjazdem do Tunezji próbowaliśmy ustalić dokładną datę jego rozpoczęcia i zakończenia, ale nijak nam to wychodziło. Wszystkie daty różniły się o parę dni. Tak więc, kiedy rozpoczyna się Ramadan? Czy należy rozpocząć i zakończyć post według ujrzenia nowiu księżyca w Arabii Saudyjskiej, czy według ujrzenia nowiu księżyca w kraju w którym się mieszka? W tej kwestii istnieje aż sześć różnych opinii wśród uczonych.

Najistotniejsze są jednak tylko dwie główne opinie. Pierwszą opinią jest że każdy powinien ujrzyć nów we własnym kraju, a kraje w których księżyc wschodzi o tej samej porze powinny iść w ich ślad, czyli zaczynać i kończyć post razem z nimi. Powodem tego jest fakt, że pora w której księżyc wschodzi, jest różna w zależności od miejsca. Natomiast drugą opinią jest, że w celu ustalenia początku nowego miesiąca wystarczy potwierdzenie jakiegokolwiek kraju muzułmańskiego. Jeżeli nów księżycyca został ujrzany w jakimkolwiek kraju, obowiązkiem innych Muzułmanów jest według tego rozpocząć post w Ramadanie i go zakończyć. Według tej opinii, jeżeli ujrzanie nowiu zostało potwierdzone w Arabii Saudyjskiej, obowiązkiem wszystkich Muzułmanów we wszelkich krańcach świata, jest rozpoczęcie postu jeżeli zaczyna się miesiąc Ramadan, i zakończenie postu jeżeli zaczyna się miesiąc Shauual. Jest to najbardziej powszechna opinia wśród stronników madhab (szkoły prawnej) Imama Ahmad'a Ibn Hanbal. Niemniej jednak, pierwsza opinia jest słuszniejsza ze względu na dowody w Koranie.

Religia Islamu, podobnie jak wszystkie jego praktyki posiada dwa wymiary: naukę wiedzy „zewewnętrznej” (al’ilm az-zahir), oraz naukę wiedzy wewnętrznej (al’ilm al-batin). Pierwszy reprezentowany jest przez naukę szariat, drugi przez naukę tasauf. Podobnie jak człowiek stanowi jedność jego duszy i ciała, Islam również nie ogranicza się jedynie do swojej zewnętrznej formy. Islam jest bowiem religią ‘środką,’ której ideałem jest zachowanie równowagi pomiędzy jego stroną wewnętrzną i zewnętrzną. Ten ideał pozornie łatwy w zrozumieniu, nigdy nie był łatwy w jego realizacji, bowiem tendencje do przewagi formy nad treścią, lub na odwrót czasami miały miejsce w historii Islamu.

Święty Koran mówi o trzech aspektach wiary: islamie, czyli poddaniu, imanie, czyli wierze i ihsanie, czyli cnocie dobroci. „Pewnego razu spytano Proroka (saws) i zapytano go czym jest religia (ad-din). Odpowiedział, że składa się ona z trzech elementów: islamu, imanu i ihsanu, przy czym pierwszy z tych terminów posłużył za nazwę całej tradycji religijnej. Każdy, kto przyjmie religię i poddaje się woli Bożej, nazywany jest muslimem, jednakże nie każdy muzułmanin (muslim) jest muminem (posiadającym głęboką wiarę) i nie każdy sam siebie określa tym mianem. Iman jest wyższym stopniem uczestnictwa w religii, zakładającym intensywną wiarę i przywiązanie do Boga. Jeśli chodzi o ihsan – oznacza on jeszcze głębsze przeniknięcie do wnętrza objawienia dzięki tej „cnocie dobroci,” którą nie wszyscy są obdarzeni. Pytany o sens ihsanu, Prorok (saws) odpowiedział, że ihsan oznacza, że „wielbisz Boga, jakbyś go widział, a jeśli ty Go nie widzisz, On widzi Ciebie”. Można by uznać, iż w pewnym sensie ihsan jest ideałem, do którego powinien dążyć każdy muzułmanin. Wspominanie Boga (zikr) w każdej naszej myśli i czynie jest szeroko pojętym szariatem, w którym jest zawsze miejsce również dla duchowej introspekcji. Spełnianie wszystkich obowiązków religijnych jest więc formą wspominania Boga, bowiem w Islamie wszystko rozpoczyna i robi się w imię Boga.

Choć uważa się ogólnie, iż ascetyzm nie jest typowy dla Islamu, post miesiąca Ramadanu posiada jednak pewne jego cechy. Co więcej, post (raum) jest jednym z pięciu filarów dorosłego wierzącego muzułmanina. Czym jest więc Ramadan i jaki jest jego cel? Ramadan jest dziewiątym miesiącem kalendarza muzułmańskiego, w którym dorosły muzułmanin, cieszący się zdrowiem pości od świtu do zachodu słońca. Miesiąc upamiętnia objawienie Świętego Koranu, które Prorok Mohammad (saws) otrzymał w „nocy przeznaczenia” (Lajlat Kadr). Koran mówi: „To jest miesiąc ramadan, w którym został zesłany Koran - droga prosta dla ludzi i jasne dowody drogi prostej, i rozróżnienie. Kogo z was zastanie ten miesiąc, to niech pości w tym czasie. A ten, kto jest chory lub w podróży, to przez pewną liczbę innych dni. Bóg chce dać wam ulgę, a nie chce dla was utrudnienia; chce, żebyście dopełnili te liczbę i żebyście głosili wielkość Boga za to, że On poprowadził was drogą prostą. Być może, będziecie wdzięczni!”

Post Ramadanu jest szczególnie ważny dla muzułmanów z kilku powodów. Jest to okres wzmożonego błogosławieństwa (baraka), jakie spływa na tych którzy dobrowolnie poddają się Woli Boga (muslim). Uważa się, że w pierwszej dekadzie miesiąca wierny doświadcza Boskiego miłosierdzia, w drugiej Jego przebaczenia, a w trzeciej wolności od wiecznego potępienia. „Noc przeznaczenia,” nieparzysty dzień pod koniec miesiąca postu jest szczególnie ważny z powodu Łaski Najwyższego, dlatego zachęca się wiernych do szczególnego duchowego zaangażowania w praktykę modlitwy. Istnieje przekonanie wśród nie-muzułmanów, iż miesiąc Ramadanu to tylko rodzaj postu, czyli powstrzymywanie się od jedzenia i picia. Tak powielany stereotyp jest często potwierdzany przez samych muzułmanów, dla których Ramadanu to tylko modlitwy, jałmużna, post, brak współżycia intymnego, czy przerwa w paleniu tytoniu od świtu do zachodu słońca, a potem nieumiarkowane objadanie się. Ramadanu jest jednak czymś więcej, aniżeli powstrzymywanie się od rzeczy zakazanych, lub rzeczy, które zwykle są dozwolone. Ramadanu to okres wewnętrznej dyscypliny, wewnętrznej walki (czyli właściwie rozumiany dżihad), walki ze słabościami charakteru. Wielu ludziom znane jest doświadczeniu głodu. Aby jednak umieć znieść długotrwałą głodówkę z cierpliwością, należy nauczyć się samodyscypliny i surowego stylu życia. Ramadanu dostarcza możliwości takiego treningu polegającego na wielogodzinnym poście, który to staje się wtedy prawdziwym lekarstwem na niecierpliwość i brak wytrzymałości – przyczyn wielu ludzkich nieszczęść. Jest to czas, kiedy poprzez modlitwy i wewnętrzną dyscyplinę wierny może uwolnić się spod panowania dominującej cielesnej jaźni nafs-e ammara. Ta cielesna jaźń podczas postu traci swoją iluzoryczną moc nad człowiekiem. Wysłannik Boży (saws) relacjonuje, iż kiedyś Bóg zapytał nafs: „Kim Ja jestem, a kim jesteś ty?” Nafs odpowiedziała, że „Ty jesteś Ty, a ja jestem mną.” Jakby Bóg nie dręczył nafs, zawsze otrzymał tę samą odpowiedź. Wreszcie, Bóg poddał ją głodowi i kiedy zadał to samo pytanie ponownie, otrzymał odpowiedź: „Ty Jesteś Wszech-Litościwy Pan, a ja jestem bezradnym sługą.” Nafs nie uznaje Pana i sama uzurpuje sobie tę rolę. Jednak post może złamać opór jaźni i pokazać jej bezsilność. Ostatecznie nafs samo poddaje się Bogu i staje się muslimem.

Rada trzynastowiecznego mistyka z Delhi, Nizamuddina Auli: „jedz mniej, mów mniej, śpij mniej.” ma szczególne zastosowanie podczas miesiąca Ramadanu, mimo, iż Nizamuddin radził ją stosować zawsze. Mistycy muzułmańscy od dawna rozumeli, iż charakterystyczną cechą nafs jest nadmierne spanie, obżarstwo i gadatliwość. Aby ujarzmić nafs, należy również opanować te trzy rzeczy. Miesiąc Ramadanu jest ku temu doskonałą okazją. W czasie Ramadanu należy się powstrzymać nie tylko od jedzenia, picia, ale również nadmiernego rozmawiania, trywialnych tematów, słuchania, lub oglądania. Okres Ramadanu to również sposobność by serce wiernego wypełnić mogło nic innego oprócz Boga. Takie jest znaczenie ubóstwa (fakir - ubogi) w sensie duchowym – serce prawdziwie wiernego jest „ubogie,” bo nie ma w nim nic, nic prócz Boga. Serce nic nie pożąda, nic prócz Jedyne. Fakir jest naprawdę jednak „najbogatszy,” bo wyzbywszy się wszystkiego, zyskał Wszystko. Aby coś zyskać, należy najpierw coś dać, czego symbolem jest jałmużna, ważny element w religii islamu i podczas Ramadanu. Wreszcie Ramadanu to czas refleksji. Refleksji nas sensem życia, celu dla którego człowiek jest stworzony. To również czas na refleksję kim się jest, dokąd idzie i co oznacza bycie muzułmaninem. I to chyba byłoby na tyle...

Po wizycie w sklepie i drobnych zakupach swoje kroki kierujemy pod Mauzoleum Habiba Burgiby. Do mauzoleum wiedzie brukowana droga, a po chwili ukazuje się zachwycający widok złoto-zielonych kopuł, marmurowego dziedzińca, wykładanych zielonymi kafelkami łuków i eleganckiej wschodniej bramy. W mauzoleum jest niewielka kolekcja przedmiotów należących do pierwszego prezydenta niepodległej Tunezji. Warto wejść po schodach w południowej części budynku na wewnętrzny balkon na pierwszym piętrze, aby przyjrzeć się od środka wymyślnej konstrukcji mauzoleum. Na terenie wokół

mauzoleum rozpościera się ogromny cmentarz tonący w bieli skromnych grobów. Z rzadka ktoś przechodzi przez cmentarz, gdzie indziej ktoś właśnie bieli grób. Na placu przed mauzoleum znajduję zuka, którego zabieram ze sobą pomimo licznych protestów Pawła. Ha będzie w sam raz dla mojej siostry. W czasie Ramadanu Tunezyjczycy produkują ogromne ilości słodkich ciastek na miodzie i z dodatkiem bakalii, które potem sprzedają na licznych straganach. Tak więc kupujemy pierwsze ramadanowe ciastka w środku faszerowane kaszką z migdałami i niesiemy do hotelu, aby je zjeść.

Po godzinie 12 przyjeżdża do hotelu spóźniona na spotkanie rezydentka. Przywozi jeszcze 4 osoby, których lot z Gdańska opóźnił się o 10 godzin ze względu na panującą tam mgłę. Spotkanie przebiega sprawnie. Rezydentka nawet nie wciska nam wycieczek na siłę, z których i tak nie mamy zamiaru z Pawłem korzystać. Poznajemy na spotkaniu małżeństwo w średnim wieku z Dąbrowy Górniczej. Pani Basia, bo tak na imię tej pani, strasznie głośno mówi, a rezydentkę prosi o głośniejsze mówienie, bo po przelocie samolotem coś jej się stało ze słuchem i nie słyszy dobrze.

Spotkanie się zakończyło, pozostało jeszcze tylko owe małżeństwo zasypując rezydentkę gradem pytań, a my wraz z Anią i Sławkiem postanowiliśmy pojechać do Portu El Kantoui. Na postoju louage wsiedliśmy do busika do Sousse, gdzie na dużo większym postoju przesiedliśmy się na louage do Portu El Kantoui. Postój louage w Sousse jest duży, zawieszane tabliczki w hali informują dokąd jadą stojące obok nich busiki. Zgiełk jest znaczny, bo naganiacze nawołują określone kierunki. Postoje louage to bardzo praktyczne miejsca transportu w każdej miejscowości. Louage – busik/taksówka, o przystępnej i oficjalnie ustalonej cenie (nie trzeba się targować; niewielka różnica między transportem autobusowym i kolejowym), świetnym czasie przemieszczania (często 120km/godz lub więcej). Jedynym mankamentem może być to, że jedzie kiedy zbierze się komplet pasażerów – 8/9 osób. Na uczęszczanych trasach nie jest to problem, maksymalnie czeka się do pół godziny, natomiast w małych miejscowościach na południu... można spędzić dużo czasu na czekaniu. W takich wypadkach kierowca może zaproponować siedzącym w busiku dopłatę do 2-3 biletów i wtedy pojedzie. Czasem jest to konieczne bo innej możliwości nie ma. W każdym mieście jest co najmniej 1 postój louage (w zależności od wielkości miasta). Louage z czerwonym paskiem na samochodzie to louage na dalekie trasy, z niebieskim – w okręgu, a z żółtym to louage lokalne. Wystarczy pojawić się na postoju i pierwszemu Tunezyjczykowi powiedzieć gdzie chce się jechać, a wsadzi do odpowiedniego louage, należy tylko przed odjazdem upewnić się do ceny, bo wiadomo... różnie to bywa nawet mimo ustalonych cen.

Port el-Kantoui położony zaledwie 14 km na północ od Sousse, jest luksusowym kurortem dla turystów, obwołanym „najprzyjemniejszym portem nad Morzem Śródziemnym”. Centralne miejsce to duża przystań otoczona hotelami, drogimi restauracjami i sklepami z upominkami. Można tu spędzić urlop, nie ruszając się z miejsca. Oferta ośrodka jest bardzo bogata – plaże, repliki statków pirackich, łódzie ze szklanym dnem, szkoły nurkowania, pływające restauracje, banki, międzynarodowe gazety i zoo. Turyści spędzają czas na wypielęgowanym polu golfowym, w nocnych klubach i parkach rozrywki dla dzieci i młodych duchem. Króluje architektura andaluzyjska, kuchnia łączy dania europejskie i tunezyjskie, a nad wszystkim unosi się atmosfera wielonarodowego tygla. Przyjeżdża tu wielu turystów z Tunezji i krajów arabskich.

Przekonujemy się, że opis miasteczka zgadza się z przewodnikiem. To typowa osada zbudowana od podstaw dla turystów, którzy znajdują tutaj wszystko co chcą daleko się nie ruszając. Na każdym kroku fontanny, ławeczki, sklepy z pamiątkami, restauracje oraz marina z ekskluzywnymi jachtami z różnych zakątków Europy.

Zakończywszy spacer po kurorcie koło godziny 17 zbieramy się do powrotu, bo zaczyna grzmieć i lekko padać, no i zaczynają się problemy. Łapiemy na ulicy jakiegoś louage, którego kierowca robi nas na szaro wysadzając nie tam gdzie chcieliśmy. Na

odchodne mówi, że mamy niedaleko ok. 1 km. Postanawiamy się przejść, ale idziemy i idziemy przez zaśmiecone i zaniedbane przedmieścia Sousse i w końcu okazuje się, że do centrum mamy jakieś 4 km, nie mówiąc o tym ile do postoju louage. Czarne chmury są coraz bliżej, zaczyna wiać. O mało co nie obrywam lecącym kartonem. Robi się już bardzo nieciekawie. Decydujemy się złapać taksówkę, która zawiozłaby nas na dworzec louage. Po negocjacji ceny wsiadamy do taksówki, co było dobrą decyzją, bo po chwili rozpętuje się piekło. Leje niczym z wiadra, sypie gradem, o wielkości grochu, aż momentami nic nie widać przez szybę. Jak dobrze siedzieć w taksówce. Za oknem mnóstwo wody. W pewnym momencie przejeżdżamy przez wielką kałużę i niestety robimy niezły prysznic motocykliście, który bardzo się wkurza i aż kopie naszą taksówkę jadąc motorem. Na to wkurza się taksówkarz i przez okno zaczynają się kłócić. Zatrzymujemy się, bo kłótnia trwa. W końcu zdenerwowany motocyklista odjeżdża, a my... w samochodzie stoimy na środku drogi, bo nie chce zapalić mimo licznych prób kierowcy. Wsiadamy więc i w strugach deszczu, ku radości obserwujących całe zajście Tunezyjczyków, biegniemy pod zadaszenie. Całe szczęście, że dworzec jest dosłownie 200 m od miejsca, w którym się schroniliśmy, więc postanawiamy przebiec tę odległość. Po drodze jednak wynika przeszkoda w postaci drogi zalanej wodą po kostki. Nie pozostaje nam nic innego jak zakasać nogawki i przedrzeć się przez to morze deszczówki. Uff, udaje się i jesteśmy na dworcu, wsiadamy do busika przemoknięci i zmarznięci i wracamy do Monastiru. Zanim jednak opuszczamy miasto, taksówkarz kluczy aby minąć drogi, które zamieniły się w rwące potoki. Czasami przejeżdża uliczkami niczym amfibie nie robiąc sobie nic z tej wody. Za oknem widzimy, jak mieszkańcy poukładali różne zapory, albo też stoją z miotłami odgarniając wodę od progów, aby nie wdzierła się do ich domostw. Obraz niczym z powodzi, dookoła mętna woda, która dodatkowo niesie ze sobą góry śmieci. W końcu opuszczamy Sousse i ruszamy w kierunku Monastiru, a po drodze niebo rozbłyska niezliczoną ilością błyskawic.

Prawie biegiem docieramy do hotelu z postoju louage, bo i tutaj zaczyna padać. Szybko zmieniamy mokre rzeczy, a ja próbuje umyć stopy, które są w pięknym czerwonym kolorze. Tak zafarbowały mi stopy od moich czerwonych sandałów.

Ubrani w suche rzeczy pędzimy na posiłek. Dzisiaj na obiad jest większy wybór: dużo różnych sałatek, mięso duszone z papryką, gulasz, lazania, pieczone ziemniaki, a na deser melon.

Wieczorem razem z Anią i Sławkiem idziemy do medyny na uwielbianą przeze mnie jeszcze w Maroku – miętową herbatę. Chwilę szukamy restauracji, gdzie można by się jej napić, bo w związku z Ramadanem nie wszystko jest czynne nawet wieczorem, albo też w restauracji siedzą sami mężczyźni oglądający ważny mecz lub popalający fajki wodne – szisze. W końcu się udaje i zamawiamy wspaniałą herbatę miętową, którą długo się delektujemy. Nie wiem dlaczego ktoś w przewodniku napisał o niej - smolisty napar. To wielka obraza herbaty. Jest niczym napój bogów, a że lekko mętna i diabelnie słodka, to już inna sprawa.

Koło północy docieramy z powrotem do hotelu, a za oknem znowu zaczyna padać...

14.10.2006 (sobota)

Pobudka o 8:30, za oknem leje. Zaliczamy szybkie śniadanie, takie samo jak wczoraj. Przy recepcji Pani Basia ze Śląska zamęcza rezydentkę pytaniami dotyczącymi wycieczki na pustynię. Notuje dokładnie co ma ze sobą zabrać: spodnie co najmniej do kolan, dobre buty...

A my z Pawłem pędzimy na miejski autobus nr 52 jadący z Monastiru do samego centrum Sousse. Autobus jadący do Sousse zatrzymuje się przy co większych kurortach turystycznych, zabierając coraz to więcej osób różnej narodowości.

Sousse to miasto na wskroś tunezyjskie, ale bogate również w elementy europejskich kultur. W dzień życie koncentruje się na plaży Boujaffar, rojącej się od Tunezyjczyków i Europejczyków spragnionych słońca i wody. Wczesnym wieczorem tłumy okupują nadmorską promenadę. Ulice ville nouvelle są szczelnie zabudowane hotelami i restauracjami. Im dalej od morza, tym wolniejszym rytmem toczy się życie. Przekraczając granicę medyny, ma się poczucie wejścia w zupełnie odmienny, o wiele spokojniejszy świat.

Sousse powstało w IX w. p.n.e. jako fenicka baza wojskowa Hadrumete. W połowie VI w. p.n.e. dostała się pod wpływ Kartaginy. W czasie II wojny punickiej w 202 r. p.n.e. dowódca wojsk kartagińskich Hannibal uczynił z niej bazę wojenną. Miasto uniknęło losu Kartaginy dzięki przymierzu zawartemu z Rzymianami podczas III wojny punickiej. Najazd Arabów w VII w. oraz rozkaz zniszczenia miasta wydany przez Okba ibn Nafaa al-Fihri przyczynił się do upadku Hadrumetum. Dwa stulecia później już jako Suousse, miasto stało się głównym portem dynastii Aghlabidów (IX w.), rezydujących w Kairuanie. Przed przybyciem Francuzów w 1881 r. istniała tu tylko skromna osada z 8 tys. mieszkańców.

Życie w mieście koncentruje się wokół dwóch osi. Pierwsza biegnie od place Farhat Hached wzdłuż ave Habib Bourguiba aż do plaży, a następnie na północ ave Hedi Chaker i rue de la Corniche. Stanowi ona serce ville nouvelle i tutaj też skupiła się większość banków, hoteli i restauracji. Drugim ważnym punktem jest medina. Mury obronne wzmocnione rzędem solidnych kwadratowych wieżyczek wyglądają imponująco. Ciągają się przez ponad 2 km, a ich wysokość dochodzi do 8 m. Zbudowali je Aghlabidzi w 859 r., w miejscu oryginalnych murów obronnych z czasów Bizantyńczyków. W medynie są 24 meczety (12 dla kobiet i 12 dla mężczyzn). W 1943 r. część murów obronnych zbombardowali alianci, a powstała w ten sposób wyrwa jest głównym wejściem do medyny. Cotygodniowy targ w Sousse odbywa się w niedzielę na Souq el-Ahad.

Autobus zatrzymuje się tuż przy samych murach medyny. Jednak swoje kroki kierujemy najpierw do informacji turystycznej, ale ich wiedza jest znikoma w kwestii interesujących nas zagadnień. Idziemy na dworzec kolejowy, aby sprawdzić jak jeżdżą pociągi na południe kraju. Dostajemy rozkład jazdy obowiązujący dla wszystkich istniejących stacji, który mieści się na zwykłej kartce formatu A4. Decydujemy się na zakupu biletów na poniedziałek do Metlawi. Z dworca w końcu idziemy do medyny, gdzie na centralnym placu panoszą się licznie wszędobylskie koty. Jednak w porównaniu do tych z Egiptu wyglądają na zadbane. Tutaj też dokonuję pierwszego zakupu – chust, bo sprzedają je w atrakcyjnej cenie. Czas coś zwiedzić. Najbliżej znajduje się Wielki Meczeta. Świątynia jest typowym przykładem surowej architektury z czasów dynastii Aghlabidów. Zgodnie z kuficką (wczesnoarabską) inskrypcją na dziedzińcu, wybudował ją w 851 r. wyzwolony niewolnik o imieniu Mudam według instrukcji aghlabidzkiego władcy Abdula Abbasa. Wieżyczki armatnie i mury z blankami nadają meczetowi wygląd fortecy - skojarzenia są słuszne, gdyż Mudam zaadaptował starą kazbę. Tłumaczy to również niecodzienną lokalizację budowli - główny meczet zazwyczaj lokowano w centrum medyny. Wyjątkowość świątyni polega też na braku minaretu - aby zwołać wiernych na modły korzystano z wieży pobliskiego ribatu. W XVII w. meczet poddano modyfikacji, a niedawno odrestaurowano. Turyści, którzy nie są wyznawcami islamu, mogą zwiedzać jedynie dziedziniec, gdzie warto zobaczyć wspaniałe wnętrza sali modlitewnej ze sklepieniem beczkowym, stąd też nie wchodzimy na dziedziniec, a postanawiamy zobaczyć meczet z wieży ribatu. Kupujemy bilety i okazuje się, że studenci na międzynarodową kartę ISIC wchodzi za darmo. Tak więc za bilet płaci tylko Paweł.

Ribat to najstarszy zabytek w mieście, wzniesiony pod koniec VIII w. Mała kwadratowa forteca stoi na północny zachód od Wielkiego Meczeta. Do środka wchodzi się przez wąską arkadową bramę z kolumnami pochodzącymi z ruin rzymskiego Hadrumetum. Wejście prowadzi na otoczony portykami dziedziniec. Niewielki przedsiónek stanowił ostatnią linię obrony - napastników zasypywano z góry gradem strzał i włóczni oraz oblewano

wrzątkiem. Sklepione przejście wiedzie na dziedziniec okolony portykami. Ribat zaprojektowano jako fortecę, mającą chronić granice muzułmańskiego świata przed chrześcijańskimi najeźdźcami. Stacjonował tu garnizon islamskich wojowników, którzy czas pomiędzy bitwami spędzali na studiowaniu Koranu w małych pokojach dobudowanych do murów fortecy. Sala modlitewna na piętrze ma elegancko sklepiony sufit - o jej podwójnej roli świadczy prosty mihrab (jeden z najstarszych w Afryce Północnej) i szereg umocnionych okien, wykorzystywanych przez łuczników. Z dachu wieży obserwacyjnej (nador) dobudowanej przez Aghlabidów w 821 r., na którą prowadzą wąskie spiralne schody (76 stopni), roztacza się wspaniały widok na medinę oraz dziedziniec Wielkiego Meczetu.

Dalej snujemy się wąskimi uliczkami suków, gdzie na każdym kroku można spotkać naszych rodaków. Na straganach można znaleźć wszystko poczynając od ubrań, biżuterii, wszelakich pamiątek, koszy przypraw, oliwek, papryki i daktyli, na które właśnie zaczyna się sezon, aż po żywność skończywszy. Ciekawostką są lokalne stoiska z mięsem, gdzie nieodzownym elementem takiego punktu sprzedaży jest wywieszona prawdziwa głowa krowy. Kupujemy tutaj na stoisku słodkości – bakławę z migdałami. Sklepiarze na sukach biorą mnie i Pawła albo za Hiszpanów, albo... bezbłędnie za Polaków. Znają sporo polskich słów, typu: „Dzień dobry, mam skórę, chodź zobacz, za niska cena...”. Wszędzie nas nagabują, ale na razie nie zamierzamy nic kupować tylko sprawdzić ceny, a zakupy będą przed wyjazdem.

Spacerując po medynie trafiamy pod zwię Zakkak, której posiada wspaniały ośmiokątny minaret, należący do XVII wiecznej architektury tureckiej. Oczywiście oglądamy go tylko z zewnątrz. Jest na co popatrzeć, bo minaret obłożony jest mozaiką z niebieskozielonego kamienia i kafelków.

W pewnej chwili niebo zaciąga się złowrogimi chmurami i zaczyna niepokojąco grzmieć, no a później już leje. Uliczkami pomiędzy sklepikami rwą potoki wody, które po części wlewają się do otwartych studzienek, ale że wody jest za dużo to pędzi dalej. Przyglądam się 3 cm karaluchowi, który sprawnie gramoli się z otworu pod sklepem salwując się przez wodą i niechybną śmiercią. Sklepiarze na prędcie zbierają do wnętrza swoje towary i miotłami odgarniają od progów wodę, żeby nie przelała się do ich sklepów. Deszcz ustaje, więc labirynt uliczek pokonujemy dalej. Docieramy z powrotem pod Wielki Meczet i szukamy miejsca, gdzie można by coś przekąsić, ale to nie takie proste. Nasze poszukiwania przerywa kolejna ulewa z gradem, więc musimy się schronić i przeczekać w ogromnym centrum pamiątek. Wraz z nami w sklepie tłumy innych turystów. Po deszczu znajdujemy małą restauracyjkę pod murami w medinie, gdzie zjemy zupę oraz brika, czyli trójkąt cienkiego ciasta smażony na głębokim oleju, a nadziewany m.in. jajkiem i tuńczykiem. Do tego wypijamy herbatę miętową, bo jeszcze musimy posiedzieć, gdyż znowu zaczęło padać. Pada i pada toteż postanawiamy mimo wszystko iść na dworzec tzw. metra, aby wrócić do Monastiru. Metro to tutaj nic innego jak lokalny pociąg. Pociąg przyjeżdża spóźniony pół godziny. Tłum ludzi w trzy sekundy bierze go szturmem i zajmuje miejsca. Po 35 minutach jazdy jesteśmy w Monastirze marząc aby jak najszybciej dotrzeć do hotelu i zdjąć te mokre sandały, które farbują mi nogi.

Siedząc w hotelowym pokoju i czekając na obiad, za oknem zmierzcha i coraz silniej wieje, a niebo raz po raz przecinają błyskawice. Zaczyna ponownie padać. Czas iść jeść. Dzisiaj hotel serwuje nam oprócz sałatek kotlecki, ryby, chrupiące naleśniki nadziewane ziemniakami z pietruszką, a na deser mamy winogrona. W czasie naszego obiadu burza rozszalała się na dobre.

Siedzimy w pokoju po obiedzie. Niestety nie da się nigdzie wyjść. Już trzecią godzinę szaleje burza z piorunami i jakoś końca nie widać. Takiej burzy nigdy jeszcze nie widziałam. Zwłaszcza ilość błyskawic jest porażająca. Niebo cały czas jest nimi rozświetlane, a błyskawice są przede wszystkim chmura-chmura. Wiatr właśnie zmienił kierunek i deszcz

sieczy w nasze drzwi balkonowe, co skutkuje tym, że do pokoju zaczyna nam się wdzierać woda, bo nie ma progów. Bierzymy szmatę i śmietnik i na bieżąco wycieramy wodę. Pół wiadra zebraliśmy zanim w miarę przestało nam się wlewać do pokoju. A tak fajnie siedziało się po ciemku i oglądało obraz za oknem niczym program w tv... nie ma to jak wakacje w październikowej Tunezji. Podobno ten miesiąc jest najbardziej deszczowym okresem w roku i przypada na niego 6 dni deszczowych.

Idziemy spać, a za oknem dalej bez zmian. Budzę się po 1 w nocy, a burza dalej szaleje...

15.10.2006 (niedziela)

Budzę się koło 6 rano, bo za ścianą mieszkają jacyś Arabowie i chyba właśnie wrócili ze śniadania przed wschodem słońca, robiąc przy tym znaczny rumor. Zresztą za drugą ścianą też poruszenie, bo tam mieszka wspomniane już wcześniej małżeństwo ze Śląska, które właśnie szykuje się do wyjazdu na 2-dniową wycieczkę m.in. na pustynię. Gdy wychodzą słyszę fragment rozmowy. Pan Grzesiek: „Baśka pośpiesz się bus już na nas czeka!”, Pani Basia na to: zaraz tylko spadła mi szminka!, na to z kolei Pan Grzesiek: Kobieto na co ci na pustyni szminka????”... hehe. W końcu wszystko cichnie i można spać dalej.

Po raz drugi budzę się już o 8:30, za oknem piękny słoneczny ranek. Jak gdyby wczoraj i w nocy nie było mega burzy. O tym co się działo świadczą porzucane fragmenty palm po okolicy, przy hotelu pobojowisko z porzucanych stołów i krzeseł. Idąc na śniadanie przez hotel, wszędzie pełno wody. Jak widać nasz pokój nie był odosobnionym przypadkiem, ale woda wlewała się także do innych pomieszczeń hotelu. Pani sprzątająca będzie miała nie lada orzech do zgryzienia, żeby to wszystko posprzątać, no chyba że samo wyschnie... Po śniadaniu, ponownie takim samym jak wczoraj i przedwczoraj idziemy z Pawłem zobaczyć na plażę, bo po takim sztormie powinny być jakieś ciekawe muszelki. Jednak nie znajdujemy ani jednej... Tak więc prosto z plaży idziemy na postój lounge i wsiadamy do busika jadącego do Kairuanu. Jesteśmy ostatnimi osobami więc ruszamy bez czekania. Ale nam się udało.

Kairuan (Kairouan) jest jednym z siedmiu świętych miast islamu. Jego meczet to najstarsza świątynia w północnej Afryce, a medina, tonąca w błękicie, bieli i zieleni, przywołuje obraz życia prowadzonego przed wiekami. Jest to również najbardziej konserwatywne miasto Tunezji, w którym turyści wzbudzają lekką konsternację i niezdrową sensację. Kairuan od zawsze był jednak miastem podróżników, przyjeżdżających tu z wyprawami kupieckimi lub z pielgrzymkami, dlatego mieszkańcy przez wieki uczyli się akceptować przybyszów z zamorskich krajów. Współcześnie reprezentuje fundamentalne tunezyjskie wartości - jest na wskroś islamski, głęboko zakorzeniony w tradycji, a zarazem przystosowany do komercyjnych wymogów dzisiejszego świata. Koniecznie trzeba go zobaczyć - czy podczas jednodniowej wycieczki, czy kilkudniowego pobytu.

Kairuan był pierwszym miastem w Maghrebie, w którym na dobre zagościł islam. Pierwszą osadę Arabów po kilku latach zniszczyli berberyjscy rebelianci. W 694 r. miasto odbudował Hassan ibn Numan i od tej pory niepodzielnie panuje tu islam. Największy rozkwit Kairuanu przypadł na początek IX w., gdy w 909 r. miasto stało się stolicą dynastii Aghlabidów. Mimo że władcy aghlabidzcy woleli rządzić z oddalonego o 9 km pałacu w Rakkadzie, to właśnie oni zbudowali najważniejsze historycznie budowle, z Wielkim Meczetem na czele. W 909 r. Kairuan przeszedł w ręce Fatymidów, którzy przenieśli stolicę do Mahdii. Od tego czasu miasto zaczęło się chylić ku upadkowi, a w 1057 r. zostało całkowicie zniszczone przez Hilalitów - już nigdy nie odzyskało politycznej pozycji sprzed wieków, mimo to zachowało swe znaczenie jako centrum religijne i święte miasto islamu.

Życie w Kairuanie skupia się wokół medyny i ville nouvelle na południu. Stare i nowe miasto łączą się obok głównej południowej bramy medyny - Bab el Chouhada. Główna ulica starej części miasta, ave 7 Novembre, prowadzi stąd na północny zachód, dochodząc aż do północnej bramy - Bab Tunis.

Cudowna medina nie ma sobie równych w całej Tunezji - podczas wędrówki można podziwiać bogactwo zabytków religijnych sąsiadujących z chylącymi się ku upadkowi, lecz ciągle eleganckimi domami kupców, rozpadającymi się zadaszonymi sukami i sklepami z dywanami. Wszystko to skupia się przy głównej ulicy - ave 7 Novembre. Pierwsze mury zbudowano pod koniec VIII w. Później były wielokrotnie przebudowywane, a ich obecny wygląd to efekt XVIII-wiecznych przeróbek.

Po przyjeździe do Kairuanu, idziemy prosto do Wielkiego Meczetu, gdzie można kupić bilet obejmujący kilka miejsc do zwiedzenia. Najświętsze miejsce islamu w północnej Afryce, Wielki Meczet, wznosi się w północno-wschodnim rogu medyny. Zwany również Meczetem Sidi Okba, od imienia fundatora i założyciela Kairuanu, powstał w 670 r. Niestety, pierwotna budowla została całkowicie zniszczona. Obecna świątynia to dzieło Aghlabidów (IX w.). Typowe dla okresu aghlabidzkiego surowe elewacje i mury z przyporami sprawiają, że Wielki Meczet z zewnątrz przypomina fort. Wrażenie pryska po wejściu na dziedzińiec, wyłożony marmurową posadzką i otoczony arkadami oraz kolumnadami. Dzięki nachyleniu posadzki woda deszczowa spływa do misternie zdobionego otworu - filtra pośrodku dziedzińca, a potem do podziemnych cystern z IX w. Dekoracje pełnią również funkcję filtra. Na dziedzińcu stoi kilka studni - na ich marmurowych krawędziach można zauważyć wyraźne rowki, wyłobione przez liny do wyciągania wody. Po północno-zachodniej stronie dziedzińca wznosi się trójkondygnacyjny minaret zbudowany na planie kwadratu. Dolny poziom pochodzi z 728 r. U jego podstawy zachowały się dwie rzymskie płyty z kamienia (jedna do góry nogami) z wyraźnymi łacińskimi napisami. W sali modlitewnej, w południowej części dziedzińca, szczególnie interesująca jest rzeźbiona płycina nad ogromnymi, nabijanymi ćwiekami drewnianymi drzwiami z 1829 r. Do sali mają wstęp tylko muzułmanie, ale często drzwi są uchylone i można spojrzeć do wnętrza. Dach meczetu wspiera się na 414 filarach, pochodzących z rzymskich miast na terenie Afryki, a także Kartaginy i Sousse. Na końcu sali, z tyłu mihrabu (nisza modlitewna w ścianie meczetu wskazująca kierunek Mekki), można zobaczyć cenne płyty z IX w., sprowadzone z Bagdadu wraz z drewnem, z którego wykonano minbar (ambona).

Kluczemy uliczkami medyny zwiedzając różne miejsca. Trafiamy do Zawii Sidi Abid el-Ghariani. W niedawno odnowionym XIV-wiecznym budynku warto obejrzeć interesujące drzeworyty i sztukaterie. W zawii jest także grób hafsydzkiego sultana Mulaja Hassana (1525- 1543).

Następnie trafiamy do Maison du Gouverneur. Wspaniale odrestaurowany XVIII-wieczny budynek rezydencji bejów Kairuanu w medinie stanowi uderzającą przeciwagę dla surowego stylu Aghlabidów. Wnętrze jest bogato wykończone drewnem tekowym i cedrowym, marmurowymi kratownicami oraz gipsowymi odlewami. Obłożone kafelkami eleganckie łuki zdobią główny hol, harem i salę przyjęć, w której gubernator podejmował oficjalnych gości. Dom pełni dziś inną funkcję - został przekształcony w sklep z dywanami. Warto się tu zapoznać z rytuałem tkania dywanów (produkcją zajmują się wyłącznie kobiety, sprzedają - mężczyźni).

Kolejne kroki kierujemy do Bir Barouta. 20 metrowej głębokości studnię tę zbudował w 1676 r. turecki władca Mohammed Bej, aby zadośćuczynić legendzie. Panowało bowiem przekonanie, że woda z Bir Barouta łączy się z wodami płynącymi w studni Zem-Zem w Mekce i ma cudotwórcze właściwości. Dodatkowa atrakcja to wielbłąd z zawiązanymi oczami, który pracuje przy studni, wyciągając wodę dla turystów. Należy pamiętać, że wizyta przy studni to ważne przeżycie religijne dla większości odwiedzających - wielu z nich wierzy,

iz studnia naprawdę jest połączona z Mekką. Biedny ten wielbłąd, że tak musi chodzić. Na ścianach wiszą zdjęcia jak biedak wchodził po schodach do pomieszczenia ze studnią, która położona jest w budynku na wysokości pierwszego piętra. Obok znajduje się kawiarenka, w której na chwilę przysiadamy, aby napić się herbaty miętowej.

Chodząc uliczkami medyny trafiamy do małego zakładziku, w którym Tunezyjczyk na drewnianych krosnach robi kilim. Idzie mu naprawdę dobrze. W ciągu paru chwil udaje mu się utkać dobre 5 centymetrów kilimu. Tuż obok niego znajduje się Meczeta Trzech Drzwi, który powstał w 866 r. z inicjatywy Mohammeda bin Kairoun el-Maafri. Najciekawsza jest rzeźbiona fasada z wpływami andaluzyjskimi. Według przewodnika nad trzema łukowymi drzwiami meczetu umieszczono trzy kufickie fryzy zdobione motywami roślinnymi, jednak w ich miejscu jest tylko beton...

Odwiedzamy także jeden z licznych miejscowych sklepów z dywanami i kilimami. Sprzedawca zachwala nam swoje okazy, niektóre podobno bardzo stare i drogie. Oczywiście próbuje nam coś sprzedać. Jednak nie udaje mu się transakcja, bo my po obejrzeniu jego towaru rozlokowanego na dwóch piętrach budynku i wywieszonego przez okna i dach, wychodzimy. Kilim już mam z Maroka. Obowiązkowo trafiamy również pod zadaszone suki, gdzie mieszczą się małe zakłady szewskie, krawieckie, włókiennicze itp., a ich właściciele na poczekaniu potrafią zaradzić uszczerbkowi. Trafiamy również do najslynniejszej cukierni w Kairuanie, gdzie Arabowie na potęgę kupują swoje słodkie ramadanowe wyroby. W sporych rozmiarów sklepie, piętrzą się różnych kształtów i rozmiarów ciasteczka robione na miodzie i z dodatkami wyszukanych bakalii. W międzyczasie kupujemy duży czajnik, który stargowaliśmy z 45 na 20 dinarów. Myślę, że to dobra cena, skoro w sklepach dla Tunezyjczyków nowe czajniki kosztowały po 25 dinarów, a ten na dodatek wygląda na stary. Arab długo się z nami targował i powoli opuszczał cenę, aż w momencie kiedy zaczęłam wycofywać się z jego sklepu przystał na proponowaną przez nas cenę. Dowiadujemy się, że w tutejszym szpitalu pracuje polski lekarz. Gdzieś po drodze, w jednym z zaułków medyny obrywam kamykiem od dzieciaka, któremu nie spodobało się że nie chcę dać mu pieniędzy.

Chodzimy już sporo czasu po medynie i jej zakamarkach i oczywiście przychodzi czas aby coś zjeść. Na szczęście szybko znajdujemy małą restauracyjkę, gdzie już siedzą dwie Europejki, które się posilają, a z nimi dwóch poszczących Arabów. Posadzono nas w rogu i podano kanapki z sałatką, kurczakiem i frytkami, a do picia zaserwowaliśmy sobie napój cedrowy o bardzo ciekawym smaku... syropu na kaszel...

Kiedy zaspokoiliśmy głód, idziemy zobaczyć jeszcze kilka obiektów. Zawija Sidi Sahab tzw. zawija fryzjera. W budynku mieści się grób Abu Zama el-Belaoui, przyjaciela Proroka. Nosił on przy sobie trzy włosy z brody Mahometa, dlatego też znany był jako fryzjer, co wyjaśnia pochodzenie nazwy budowli - Meczeta Fryzjera. Ów tzw. fryzjer został pochowany z tymi trzema włosami – jeden włożono mu pod język, drugi nad ramieniem, a trzeci na sercu. Oryginalne mauzoleum pochodzi z VII w., jednakże wiele obecnych elementów dobudowano pod koniec XVII w.: fundak (zajazd) dla pielgrzymów, medresę i meczet.

Do zawii wchodzi się przez niezwykle dekoracyjny marmurowy korytarz, prowadzący na piękny biały dziedziniec główny. Po prawej stronie można zobaczyć mauzoleum Sidi Sahaba, zwieńczone kopułą w 1629 r. W małym pomieszczeniu naprzeciwko dziedzińca jest grobowiec twórcy Wielkiego Meczetu.

Ostatnim punktem naszej wizyty w Kairuanie są baseny Aghlabidów. Dwa zbiorniki, które gromadziły wodę dla miasta, zostały wybudowane przez Aghlabidów w IX w. Woda była dostarczana akweduktem z odległego o 36 km na zachód źródła na wzgórzu. Najpierw wpływała do mniejszego basenu, a następnie do zbiornika głównego o głębokości 5 m i średnicy 128 m. W środku są filary, które niegdyś wspierały pawilon, gdzie władcy mogli odpocząć i ochłodzić się w letnie wieczory.

Kończymy zwiedzanie i idziemy na postój louage, gdzie tym razem na odjazd musimy czekać godzinę. Ciekawostką w Tunezji jest to, że nie używa się tutaj szlaczkowej pisowni liczb, dzięki czemu nie trzeba się domyślać, o którą liczbą chodzi. Inaczej było w Maroku i Egipcie.

Kierowca jedzie niczym strzała wyprzedzając małą ciężarówkę. Za chwilę ona wyprzedza nas, a Arab siedzący obok tamtejszego kierowcy wyciąga ręce przez okno do naszego kierowcy i nagle jedziemy zygzakiem. O wypadek było nietrudno. Dalej już było spokojniej. Przez całą drogę obserwuję świat za oknem. Mija nas kolejna ciężarówka dosłownie napchana kozami. Jednej biedaczce nogi wystają poza samochód.

Do hotelu wracamy tuż przed 19, czyli w sam raz na wieczorny posiłek. Będąc przy recepcji słyszymy po raz kolejny huk, niczym wystrzał z armaty. Pan recepcjonista mówi nam, że jest to znak dla muzułmanów, iż słońce zaszło i mogą jeść. Tak więc on z radością i uśmiechem na twarzy przyniósł sobie tacę jedzenia. Za parę minut i my udajemy się na nasz obiad. Dzisiaj oprócz znanego zestawu sałatek mamy ziemniaki, rybę, smaczną lazanię, jajko sadzone na sosie paprykowym i jeszcze jakieś inne mięsko wołowe, a na deser gruszki.

Wieczorem za oknem słychać wzmagający się wiatr, a na horyzoncie w kierunku Mahdii widać błyski. Na szczęście przez cały dzień deszczu nie było, tylko przecudne ciepło, takie jakie przystało na ten region świata.

16.10.2006 (poniedziałek)

Rano na śniadaniu, oczywiście ten sam zestaw co od początku, spotykamy Anię i Sławka. Wczoraj wrócili z 2-dniowej wycieczki m.in. na pustynię. Ania jest dość znacznie poobijana i podrapana, bo miała tę przyjemność być zrzuconą z wielbłąda. Hmm, skąd ja to znam?

Po śniadaniu idziemy razem do ribatu, położonego praktycznie tuż obok hotelu, który jest główną atrakcją Monastiru. Doskonale zachowany ribat, uważany za najdoskonalszy przykład islamskiej architektury obronnej w Tunezji. Sprawiający nieco chaotyczne wrażenie układ architektoniczny kompleksu, pełen krętych przejść i schodów, jest rezultatem wielokrotnych przeróbek i remontów. Pierwszy ribat, znany jako Ribat de Harthama, zbudowano w 796 r. Dziś zajmowałby jedynie niewielką część centralnego dziedzińca i muzeum. Najstarsze zachowane fragmenty, poddane intensywnej renowacji, to nadór (wieża strażnicza) i teren wokół jej podstawy (VIII-X w.). Mury wzniesli Aghlabidzi - budowę rozpoczętą w IX w. ukończono dopiero w XI w. W fortyfikacje wbudowano pomieszczenia mieszkalne, a niewielki dziedziniec za muzeum to ribat dla kobiet, wyposażony w salę modlitewną i miejsca noclegowe. Obwarowania przebudowywano jeszcze wielokrotnie - największych przeróbek dokonano w XVII w., kiedy w narożnikach dodano osmiokątne wieże. Z wałów obronnych i wieży strażniczej rozciąga się wspaniały widok na miasto i wybrzeże. W sali modlitewnej ribatu urządzono Muzeum Sztuki Islamskiej. Oprócz kolekcji wczesnoarabskich monet i wyrobów garncarskich w zbiorach jest interesująca mapa medyny z czasów przed odzyskaniem niepodległości oraz wczesne zdjęcia miasta. Kompleks sprawia wrażenie znajomego, ponieważ jest ulubionym miejscem reżyserów, szukających plenerów z islamską architekturą. Nakręcono tu wiele scen do Żywotu Briana Monty Pythona, a Franco Zeffirelli kręcił w tym miejscu epizody Jezusa z Nazaretu. Podczas naszej obecności trwały przygotowania dekoracji do nowego filmu, który będzie tu kręcony. Z wieży ribatu podziwiamy przepiękny widok na miasto położone na cyplu oraz morze wraz z zatoką.

Po spacerze po mieście i kolejnej wizycie w medynie, przychodzi czas na plażę. Jednak słońce jakoś nie chce świecić przez cały czas, tylko co chwilę zachodzi za chmury. Toteż

większą część czasu spędzamy na wypisywaniu kartek z pozdrowieniami. Kiedy jednak słońce wychodzi na dłużej idę się wykapać. Morze jest tu dość płytkie i trzeba sporo odejść od brzegu, żeby woda była po pas. Cieszy mnie ta głębokość, przynajmniej jest dookoła grunt i mogę w spokoju pływać. Ponadto woda ma tu duże zasolenie, co jeszcze przyjemniej wpływa na pływanie, bo unosi mnie niczym piórko. Susząc się na piasku, nagle musimy schować się pod parasolem, bo zaczęło mimo słońca padać, ale za to nad wodą utworzyła się przepiękna tęcza. Wracając do hotelu, na plaży pod murem przebiega wielki szczur.

Popołudniu pakujemy małe plecaczki i szykujemy się do wypadu na 3 dni na południe kraju. Zjemy tylko obiad i ruszamy na postój louage. Ciekawe jak nam pójdzie, bo to czas po zachodzie słońca, kiedy muzułmanie udają się na zasłużony posiłek. Mam nadzieję, że jakoś na dworzec kolejowy w Sousse dojedziemy przed 23:00. Spakowani i gotowi idziemy jeść. Kuchnia hotelu poleca dzisiaj grillowaną rybę, coś w rodzaju naszych gołąbków, spaghetti, mięso wołowe, a na deser melony.

Zaraz po obiedzie zabieramy swoje plecaczki i idziemy łapać transport do Sousse. Bez problemu, po 10 minutach uzbierał się komplecik chętnych i odjeżdżamy. Po półgodzinnej jeździe docieramy do Sousse, a że mamy dużo czasu postanawiamy na dworzec kolejowy przejść się te 3 kilometry. Po drodze robimy sobie krótką przerwę na głównym placu medyny pod meczetem i obserwujemy to, co się na nim dzieje. A dzieje się sporo. Teraz wieczorem miejsce to należy przede wszystkim do spacerujących Tunezyjczyków, z rzadka pojawiają się turyści, którzy za dnia przeważają w tym miejscu. Po zachodzie słońca wszyscy tłumnie wylegają na ulicę, aby świętować. W końcu widać, że w licznych małych knajpkach coś się gotuje, a na ulicach stoją stragany, na których można kupić kanapki nadziewane wszystkim co tylko możliwe.

Na dworcu spory tłumek osób czekających na pociąg, głównie to mężczyźni, którzy na potęgę palą papierosa za papierosem, nadrabiając w ten sposób zaległości z całego dnia. Niedługo przed przyjazdem pociągu zostajemy wpuszczeni na peron, zresztą jedyny peron na tej stacji. Pociąg przyjeżdża z 10 minutowym spóźnieniem. Wsiadamy do wagonu 1 klasy, gdzie cały wagon jest jednym przedziałem. 1 klasa posiada wygodne miękkie i rozkładane fotele. Zajmujemy miejsca, tuż po 23:00 pociąg wyrusza w drogę do Metlawi, a my próbujemy spać, bo jutro czeka nas długi, ale interesujący dzień.

17.10.2006 (wtorek)

Z każdą chwilą jesteśmy dalej i dalej na południu kraju. Co jakiś czas budzę się, gdy konduktor przez głośnik obwieszcza kolejną z nielicznych na trasie stacji. Paweł śpi snem sprawiedliwego, jemu to dobrze.

Około 4:40 nad ranem dojeżdżamy do Metlawi. Z racji wczesnej pory instalujemy się w małej poczekalni na drewnianych, niewygodnych krzeselkach. Zresztą i tak nie ma gdzie pójść, na dworze jeszcze czarna noc, a poza tym stąd odjeżdża zabytkowy pociąg, którym mamy ochotę się przejechać. Razem z nami zostaje jeszcze garstka Tunezyjczyków, czekająca na dalszy transport. Wszyscy zaczynają jeść, więc i my zabieramy się za wczesne śniadanie, bo potem wzejdzie słońce i jakoś tak niestosownie będzie jeść przy poszcujących Arabach.

Za oknami cały czas ciemno, próbujemy kimać, ale na tych krzesłach szybko drętwieje tyłek. Dopiero po 7 rano zaczyna dzień, a z poczekalni systematycznie znikają podróżni. Zostajemy tylko my.

Kiedy robi się jasno, w końcu możemy zobaczyć, gdzie to przyjechaliśmy. Metlawi to nieduża miejscowość wokół, której ciągną się góry i skalista pustynia. Prawie nigdzie nie ma zieleni. Miasteczko istnieje praktycznie wyłącznie dzięki kopalniom fosforytów. Powoli na

stacji pojawiają się ludzie z jej obsługi. Sprawdzamy czy aby na pewno zabytkowy pociąg kursuje i czy dzisiaj odjedzie. Wszystko okazuje się być w porządku, pociąg wyjedzie planowo o godzinie 10. Paweł nawet odkrywa ów pociąg w zadaszonym hangarze.

„Lezard Rouge” czyli czerwona jaszczurka, to pociąg skonstruowany w 1910 roku i służył bejowi Tunisu jako środek transportu między Tunisem, a pałacem letnim w Hammam Lift. Każdy element wyposażenia, począwszy od drewnianej boazerii, a skończywszy na urządzeniach oświetleniowych, odrestaurowano w sposób niemalże perfekcyjny podczas generalnego remontu, przeprowadzonego w 1995 r. przez koleje tunezyjskie.

Około godziny 9 pociąg zostaje wtoczony na stację i możemy z bliska przyjrzeć się cudowi techniki kolejowej z zeszłego wieku. Już nie możemy doczekać się przejażdżki. Chętnych jeszcze nie widać. Koło 9:30 możemy z Pawłem wsiąść, a że jesteśmy pierwsi to siadamy do najbardziej zabytkowego przedziału. Przy okazji zwiedzamy cały pociąg. Oprócz kilku przedziałów takich jak nasz, są jeszcze salonki ze zdobionymi fotelami lub skórzanymi, a także zwykłe wagony, gdzie na drewnianych ławkach zmieści się sporo chętnych na przejażdżkę. W toalecie z XIX wieku można zobaczyć malowaną umywalkę i wszystko jest zadane do użytku.

Przed godziną 10 pociąg wypełnia się tłumem turystów, którzy przywiezieni są tutaj przez autokary i jeepy. Gównie są to Francuzi i Azjaci. Tuż po 10 jaszczurka rusza, najpierw jedzie przez Metlawi. Okoliczne dzieci biegną wzdłuż pociągu, a ludzie rzucają im pieniądze. Straszny widok. Dzieci jak zwierczaki rzucają się na monety. Po minięciu osady wjeżdżamy w bezkres typowej pustyni skalisto-żwirowej, który z czasem zmienia się w wietrzejące góry stołowe.

Pociąg jedzie wśród niewyobrażalnie pięknych skalnych widoków, co jakiś czas tnąc przejazd tunelem przez górę, za którą ukazuje się coraz to bardziej niesamowity krajobraz. Przed nami coraz to większe i bardziej strome ściany skłne. Dnem doliny płynie rzeka, która swoim wyglądem przypomina szlam. Na obu jej brzegach mniejsze lub większe osady tego szarego szlamu. Jak się okazuje ten szlam, to wyplukane osady fosforytu. Pociąg jadąc przez wąwóz Seldża zatrzymuje się po drodze dwa razy przy malowniczych przełomach szlamowatej rzeki. Po godzinie jazdy pociąg dociera do Seldje, gdzie znajduje się kopalnia fosforytów. Tutaj przepinana jest lokomotywa i po około 10 minutach pociąg rusza w drogę powrotną. Spora grupa turystów zostaje tutaj, zapewne zabierana jeepami w dalszą drogę. Za to my cieszymy oczy ponownie pięknym widokiem. Pociąg wraca do Metlawi, gdzie na uczestników przejażdżki starym pociągiem czekają autokary i jeepy, tylko na nas nikt nie czeka... Musimy poradzić sobie sami.

Udajemy się na postój louage i bez problemu zabiera nas do Redeyef, przy okazji kierowca wywala jednego pasażera robiąc miejsce dla nas. W busiku lokalna mieszanka mieszkańców w oryginalnych dżelabijach i dużych turbanach na głowie. Przez godzinę przemierzamy surowy krajobraz gór, skał i pustyni. W Redeyef przerzucają nas do innego louage, który jedzie do Tamerzy. Akurat w Redeyef obok postoju trwa targ. Arabowie po zakupach tworzą w parku kółka zainteresowań na pogawędkę, a siatki z zakupami wiszą na palmach obok. Jedziemy dalej. Do Tamerzy docieramy po 40 minutach, przebijając się wąskimi drogami gór atlasu Saharyjskiego.

Niewielka Tamerza położona jest w dolince w samym sercu gór. Jest największą z oaz tego regionu. Przy wjeździe do miasta mijamy ruiny starej części osady, położonej w gaju palmowym, która została zniszczona przez gwałtowną powódź na początku lat 60. Wjeżdżamy do centrum Tamerzy, w której właściwie nie ma nic ciekawego. Wysiadamy w tym sennym i cichym miejscu. Idziemy coś zjeść, bo to najwyższa już ku temu pora. Zjadamy brika i zupę oraz wypijamy nieodzowną herbatę miętową. Od właściciela restauracji próbujemy dowiedzieć się paru rzeczy, ale na każde pytanie odpowiada nam... MOŻE. Według niego louage jadący do Tauzar może będzie dzisiaj, może jutro, a może za tydzień. Podobno

autobus jeździ tu tylko 2 razy w tygodniu w soboty i poniedziałki, kiedy przywozi i odwozi dzieci do szkoły, a dzisiaj mamy wtorek. No jest fajnie. Ilość użytego przez gościa w restauracji słowa MOŻE jest dobijająca. Jednak nie uchodzi wątpliwości... po widocznym ruchu w osadzie widać, że będziemy mieć problem z wydostaniem się stąd. No nic na początek idziemy sobie zobaczyć pobliski wodospad, gdzie sprzedawca pamiątek po rozpoznaniu w nas Polaków mówi: „tędy wodospad”, czym nas rozbawia. Oglądamy nieduży wodospad i wracamy do głównej drogi na zwiady. Ku naszej radości w jednej z bocznych uliczek zaczepia nas kierowca louage wołając, że jedzie do... Tazaaur. Nie zastanawiamy się ani chwili i wsiadamy, byle tylko stąd wyjechać. W okolicy spotykamy kontrole umundurowanych funkcjonariuszy, w sumie nic dziwnego jesteśmy dosłownie parę kilometrów od Algierii.

Opuszczamy Tamerzę, robiąc najpierw kółko po osadzie, najwidoczniej kierowca szuka jeszcze chętnych na wyjazd. Będąc już za osadą, kierowca zawraca i z powrotem jedzie do centrum. Okazuje się, że poszukuje Araba, który przekazuje mu jakiś tobolek. W końcu udaje się nam wyjechać z Tamerzy, krętą i stromą drogą najpierw pniemy się do góry, a potem jedziemy w dół za wzniesienie gór. Po drodze zjeżdżamy z trasy do wsi na pustyni, w której oprócz kilku domów i wielbłądów nie ma nic. Wysadzamy w niej jednego pasażera i przekazujemy tobolek jakiemuś mieszkańcowi. Jeszcze raz zatrzymujemy się w oazie Szebika, gdzie louage zabiera 2 turystów. Jedziemy sobie już dłuższy czas, za oknem pustynia albo szott el-Gharsa. Od czasu do czasu na horyzoncie pojawia się fatamorgana. Po drodze mijamy dużo jeepów oraz całkiem sporo wałęsających się wielbłądów. Koło 16:30 docieramy do Tazauru i pytamy podróżujących z nami turystów, w którym hoteliku się zatrzymali. Po rozmowie z nimi idziemy do hoteliku oddalonego od tego miejsca dokładnie o 700m. Hotel położony tuż obok palmowego gaju nazywa się Karim i w całkiem przystępnej cenie oferuje nocleg w ładnym pokoju. Cały hotel i pokoje są zdobione różnego rodzaju kafelkami. Tazaur jest jednym z najpopularniejszych miejsc docelowych wielu wycieczek. Położone jest w pięknym gaju palmowym na północnym krańcu Wielkiego Szotu.

Najpierw postanawiamy położyć się na dwie godziny, bo jesteśmy padnięci i to do tego stopnia, że nawet myć nam się nie chce. Po dwóch godzinach dzwoni nam budzik. Wstajemy niczym śnięte ryby. Trzeba iść zażyć świeżego powietrza. Na korytarzu spotykamy ową parę którą pytaliśmy o nocleg. Okazuje się, że są ze Słowenii, opowiadają jak to w Szebice czekali ponad 2 godziny, aby jakoś wrócić do Tazauru. Po paru minutach rozmowy umawiamy się, że jutro przed 8 pojedziemy razem do Douz. Będą już 4 osoby w louage, a to już prawie połowa...

Drepczemy z Pawłem do centrum, przez które przejeżdżają puste jeepy. Życie turystyczne zamarło, bo wszyscy obcokrajowcy są tu za dnia. Podczas spaceru kupujemy sobie ramadanowe ciastka, które nasączone są miodem do granic możliwości. Trzeba uważać, żeby nie upaprać się ciekącym miodem. Wracamy do hotelu i zapadamy w sen...

18.10.2006 (środa)

Wstajemy wcześniej rano, o dziwo nawet jesteśmy wyspani. Zjadamy własne śniadanko i schodzimy do recepcji, gdzie umówiliśmy się ze Słoweńcami. Wraz z którymi wytargowaną konną bryczką jedziemy na postój louage. Godzina 08:05 czas start w oczekiwaniu na odjazd taksówki. We czwórkę jesteśmy pierwsi do tego, aby pojechać do Kibili, a dalej do Douz. Czas leci. Idziemy z Pawłem na pobliski dworzec autobusowy zobaczyć kiedy ewentualnie jest jakiś kurs w interesującym nas kierunku. No i zaczyna się nieciekawie, bo okazuje się, że autobus rejsowy odjechał o 8:15, dokładnie pół godziny temu. Ale pech, że nas nie podkuśiło pójść sprawdzić od razu. Następny autobus odchodzi o 14:30. Strata całego dnia. Wracamy na postój louage i czekamy... Na placu praktycznie pustki, z

rzadka odjeżdża louage do pobliskich miejscowości. Najczęściej w przeciwną stronę, niż my. Z nudów robimy zdjęcia trykającym się kozom. Nuda... a w louage nie przybywa więcej osób.

Po dwóch godzinach czekania, podchodzi do nas główny naganiacz postoju i proponuje nam abyśmy zapłacili za 2 bilety to pojedziemy. Nie jest to duży koszt więc się szybko zgadzamy i po paru chwilach już jedziemy. Fajnie jest, przed nami ponad 90 km jazdy we 4 osoby. Jadąc z Tauzar, co chwilę mijamy szkoły ze sporą ilością uczniów, którzy w przerwach gromadzą się pod murkami, gdzie mogą zastać choć trochę cienia. Patrząc na uczniów uderza fakt, iż tylko dziewczyny noszą ciemnogrnatowe fartuchy, a chłopcy nie. Kolor tych fartuchów jeszcze bardziej ich grzeje. Wyjeżdżając z miasta mijamy na początku liczne gaje palmowe, aż w końcu wjeżdżamy na groblę dzielącą dwa szoty. Wielki Szot to rozległe słone jezioro o powierzchni prawie 5 tys. km², będące największym słonym jeziorem w północnej Afryce, rozciągające się daleko na południe od drogi Kibili–Tauzar. Stanowi część systemu słonych akwenów, zajmującego spory obszar pomiędzy zatoką Kabis a położonym w pobliżu granicy z Algierią miastem Biskra, 400 km w głąb lądu. Przez większą część roku zbiornik jest suchy, wtedy jego dno jest popękane i błyszczący w słońcu. Przez jezioro, po jego północnej stronie, przerzucono groblę o szerokości 2 m, po której biegnie droga łącząca Kibili z Tauzarem. Przejazdźka tą trasą jest dużą atrakcją. Czasami niesiona wiatrem sól gromadzi się po obu stronach drogi i przypomina śnieżne zasy. Przejazdźką przez szot w słoneczny dzień, ma się zwykle okazję uczestniczenia w cudownych optycznych złudzeniach.

Po obu stronach grobli ciągną się płaskie tereny słonych jezior. Gdzieś tam pojawia się woda, a wszędzie krystalizuje sól. Z racji tego, że nie jedzie z nami żaden pasażer, prosimy kierowcę aby zatrzymał się na 5 minut. Robimy zdjęcia szotów, a ja dodatkowo zabieram ze sobą parę kawałków soli. Ciekawe miejsce, jak okiem sięgnąć wszędzie biało od soli. Co chwilę na horyzoncie pojawiają się miraż.

Dojeżdżamy do Kibili, gdzie rozdzielamy się ze Słoweńcami, bo oni spotykają Araba, który ciągnie ich do innej miejscowości na jazdę wielbłędami. My wsiadamy do louage do Douz i po około 30 km jesteśmy w centrum osady. Małe miasteczko Douz, zwane Wrotami Sahary, leży na północno-wschodnim krańcu Wielkiego Ergu Wschodniego. Ta tradycyjna nazwa jest bardzo adekwatna, ponieważ opuszczając miasto w kierunku południowym, odnosi się wrażenie, że wjeżdża się w bezkresną pustynię. Jedynym krajobrazem, jaki obserwuje się po obu stronach drogi, są wysokie wydmy oddzielone od jezdni żywopłotem z liści palmowych. Główna atrakcja miasteczka to kolorowy targ, odbywający się w każdy czwartek w starych sukach. Douz jest również doskonałą bazą wypadową do przejażdżek wielbłędami oraz innych pustynnych rozrywk. Miejscowa ludność to członkowie plemienia Marazig. Twierdzą oni, że ich przodkiem był jeden z dwóch marabutów (muzułmańscy święci): Ahmed el-Gouth, którego świątynia stoi w północno-zachodnim krańcu cmentarza, lub Amar Mahjoub ze świątynią obok Wielkiego Meczetu w południowo-wschodniej części miasta. Gaje palmowe zajmują bardzo dużą powierzchnię. Oaza jest największą ze wszystkich w Tunezji. Rośnie tu blisko 500 tys. drzew, a każdego roku zbiera się ogromną ilość najróżniejszych owoców i warzyw, m.in. bardzo ceniony gatunek daktyli. Mniej więcej 50 km na południe od strefy turystycznej zaczyna się pustynia w pełnym tego słowa znaczeniu. Najwięcej dzieje się wokół rozreklamowanej wielkiej wydmy. Nie może się ona równać z Wielkim Ergiem Wschodnim, ale i tak stanowi wielką atrakcję dla osób dysponujących niewielką ilością czasu.

Idziemy do najbliższego biura zajmującego się wyjazdami na pustynię. Ceny jakie nam podają są z kosmosu. Nie na kieszeń dwóch osób. Dowiadujemy się również, że dekoracja z pewnego filmu opowiadającego o zasypaniu Paryża przez piaski pustyni już dawno zniknęła, a kolorowy przewodnik z Gazety Wyborczej nie dość, że wspomina o tym miejscu, to jeszcze zamieszcza ładne zdjęcie. Opuszczamy agencję wycieczek i spotykamy

Araba, który usilnie ciągnie nas na wycieczkę wielbłędami. Zabiera nas do swojego znajomego ustalić program wycieczki. Jedziemy taksówką na kraniec osady, na dodatek musimy za nią sami zapłacić. Już mi się to nie podoba. Potem okazuje się, że tego jego znajomego nie ma, ale jest ktoś inny. Coś tam ze sobą rozmawiają, ale jakoś tak od niechcenia. Stara kobieta częstuje nas ohydnie słodkimi daktylami, które później porzucamy. Umawiamy się z gościem w centrum Douz na 16:45 i... dajemy nogę.

Skoro jesteśmy już u bram Sahary idziemy zobaczyć jak wygląda teren za osadą, mimo że ów Arab chce abyśmy kolejną taksówką jechali do centrum. Wrota na pustynię są, ślady licznych jeepów są, błądy piasek jest, jakaś karawana wielbłędów leży w oddali, postanawiamy więc wracać do centrum przez gaj daktylowy, gdzie po drodze z drzewa zrywam granaty. Ogrom gaju palm daktylowych robi wrażenie. Wysokie drzewa z niesamowitą ilością dojrzewających owoców. Pod drzewami, na skutek intensywnego nawadniania zamiast gołego podłoża wszędzie trawa. Widzimy też źródło o dużej wydajności, gdzie woda wypływająca ze źródła schładza się uderzając w metalowe pręty. Upał z nieba leje się niemiłosierny, więc kiedy dochodzimy do centrum w małej restauracyjce kupujemy dwie butelki coca coli, ale płacimy jak za jedną. Nie wiem o co chodzi, ale lepiej się nie dopytywać. Ugasiwszy pragnienie idziemy na lokalny bazar, gdzie można sobie popatrzeć na mężczyźni leżących na ziemi i oddających się pogawędce, czy na stragany na których można kupić małe suszone rybki. Nie mając już nic innego do zobaczenia w tej osadzie i uciekając przed Arabem, który chciał nas zabrać na podejrzaną wycieczkę wielbłędami na pustynię udajemy się na postój louage, gdzie szybko mamy transport do Kibili, w którym przesiadamy się na louage do Kabisu. Siedzimy już 45 minut i jakoś nie może się zebrać komplet. Czekamy. Po ponad godzinie gdy zajętych jest tylko 5 miejsc, przychodzi Arab, który proponuje abyśmy zapłacili za 1 bilet to pojedziemy. Chce abyśmy to tylko my zapłacili za ten bilet, a reszta osób nie, więc my mówimy że zapłacimy tylko pół, bo tyle mamy pieniędzy. Wysypujemy drobne skrzętnie chowając monetę 5-dinarową, z pozostałych nazbierało się 3,5 i tyle bierze od nas Arab. Resztę zbiera od pozostałych pasażerów. No i jedziemy. Po drodze mijamy pokaźne stadka wielbłędów, a jedno które widzę ma chyba z kilkadziesiąt sztuk. Co jakiś czas pojawiają się charakterystyczne znaki informujące o możliwości przechodzenia przez drogę wielbłędów. Przed nami 115 km, które pokonujemy z zawrotną prędkością 120 km/h. Kierowca chyba się śpieszy, aby do Kabisu zdążyć na czas posiłku. Jedzie jak wariat mijając inne auta slalomem. Dokładnie po godzinie i 10 minutach docieramy do Kabisu.

Kabis to nowoczesne, przemysłowe i rozległe miasto na wybrzeżu. Jest to zarazem najbardziej zanieczyszczone miasto Tunezji. Wzdłuż wadi Kabis w północnej części miasta rośnie gaj palmowy. Jara to z kolei stara dzielnica ciągnąca się po obu stronach rzeki. Najstarsza jej część to Petit Jara, wśród palm na północ od rzeki, gdzie znajduje się meczet Sidi Driss, natomiast w Grand Jara znajduje się stary rynek, na którym odbywał się niegdyś handel niewolnikami.

Tu mamy nadzieję złapać jeszcze louage do Matmaty, ale niestety już jest za późno i nie jeżdżą, trzeba poczekać do jutra. Kwaterujemy się w obskurnym hoteliku Ben Nejima przy postoju louage do Matmaty. Na kolację idziemy również na postój, gdyż tam znajduje się restauracja Mały Delfin, o której wspomina przewodnik, a także o jej sympatycznym i skorym do rozmów właścicielu. W tym czasie ulica i jej cały ruch zamiera, a stoliki okolicznych restauracji zapełniają się Arabami. Nadszedł czas długo oczekiwanego przez nich posiłku. Jeszcze tylko parę minut i będą mogli jeść, a na stolikach już czeka na nich jedzenie. Od wspomnianego właściciela restauracji dowiadujemy się, że wielkie święto kończące Ramadan przypadnie w poniedziałek. Zjemy strasznie ostry kuskus z kurczakiem, popijamy to colą, która po tej ostrej potrawie smakuje bardzo dziwnie. Na koniec dostajemy gratis herbatę miętową, która koi nasze wypalone przelyki.

Po kolacji wracamy do hotelu dopełnić formalności, a przy okazji w holu oglądamy tunezyjską wersję telewizyjnego teleturnieju „Grasz czy nie grasz”. Grająca Tunezyjka niestety nie wygrywa dużej sumy. Późnym wieczorem idziemy na spacer do starej części Kabisu, która właśnie zaczyna budzić się do życia po wieczornym posiłku. Po spacerze wracamy do hotelu i idziemy spać.

19.10.2006 (czwartek)

Budzimy się w naszym obskurnym pokoiku i szybko jemy śniadanie, po czym udajemy się na postój louage obok hotelu. Tym razem louage są. Dosłownie po paru minutach mamy komplet i jedziemy 30 km do Nowej Matmaty, gdzie wysiadając przerzucono nas do kolejnego louage tym razem do Starej Matmaty. Zajmuję miejsce obok starszej Arabki, w bardzo regionalnym stroju – kolorowych materiałach, ozdobach i chuście na głowie. Przed Starą Matmatą wysiada i idzie do swojego domu w pobliżu drogi, wydrążonego w piaskowcu. Cała trasa od Kabisu do Matmaty to krajobraz pagórów z nielicznymi palmami.

Chyba żadna inna miejscowość w Tunezji nie przyciąga większej liczby turystów niż Matmata. Nietrudno to zrozumieć: w krajobrazie okolic jest coś surrealistycznego, co przychodzi myśl o zdjęciach powierzchni Księżyca. Z pewnością z tego powodu kręcono tu "Gwiezdne wojny". Każdego ranka nadciągają tu zatłoczone autobusy z wybrzeża – wzmożony ruch turystyczny ustępuje dopiero późnym popołudniem. Mimo dużej ilości przyjezdnych, jest tu jednak bez porównania spokojniej niż w pełnych zgiełku nadmorskich miastach. Wydrążone w skałach domostwa troglodytów są udostępnione turystom, a zwiedzanie najlepiej zacząć od trzech tanich hoteli. Sidi Driss obejmuje pięć wydrążonych w piaskowcu dziedzińców, między którymi biegają podziemne tunele. Wystrój hotelu posłużył jako scenografia do niektórych ujęć Gwiezdných wojen (kręcono tu pierwszą, drugą i czwartą część filmu). Hotele Les Berberes i Marhala to również przekształcone domy troglodytów. Warto także zajrzeć do niewielkiego Musée Berber, nad którym sprawują pieczę miejscowe kobiety. Tutejsza ekspozycja jest poświęcona technikom wyrobu dywanów oraz prezentuje tradycyjne miejscowe klucze. Ponieważ do zamykania drzwi służą długie drewniane zasuwki wchodzące bezpośrednio w ścianę, niektóre klucze mają aż 30 cm długości, przy czym dziurka od klucza jest wydrążona w skale. Często mieszkańcy zapraszają przybyszów do swych domów, ale należy pamiętać o okazaniu wdzięczności – można kupić od domowników jakiś drobiazg lub uiścić dobrowolną opłatę za wstęp (2–5 TD). Przez szacunek dla ich prywatności nie wypada się wpraszać, lecz czekać na zaproszenie. Przy ostatnim trzykilometrowym odcinku drogi z Kabisu stoi kilka domostw troglodytów przygotowanych do zwiedzania.

Kiedy przyjeżdżamy do osady, ona jeszcze śpi. Nikogo praktycznie nie ma na ulicach. Idziemy więc najpierw zobaczyć słynny hotel Sidi Driss. Wydrążone w miękkiej skale pokoje hotelu robią wrażenie. Matmata to jedyne w swoim rodzaju miejsce na ziemi, gdzie jak mówią mieszkańcy, żywi mieszkają pod zmarłymi. Główną atrakcją tej osady troglodytów są wydrążone w skale domy, które w czasie najazdów stanowiły bezpieczne schronienie. Inną przyczyną tego, że Berberowie od stuleci mieszkają pod ziemią jest niesamowicie gorące lato. Wszystkie domy budowano według tej samej koncepcji: najpierw w miękkim piaskowcu drążono centralny dziedziniec, zwykle w kształcie okręgu o promieniu 5-10m, a następnie wokół niego wykuwano tunele prowadzące do bielonych wapnem mieszkań (były to pomieszczeniaienne, kuchnia, sypialnie, spiżarnia). W przeszłości w jednym domostwie mieszkały nawet i trzy rodziny, a większe z nich miały dwa lub trzy połączone ze sobą dziedzińce. Tutaj można również za całkiem przyzwoitą opłatę przenocować. Nie polecam tego osobom, które mają klaustrofobię, bo z racji tego że są to pomieszczenia wydrążone w skale nie mają okien. Gdzieś na ścianach znajdują się oryginalne dekoracje z

Gwiezdnym Wojen. A ciekawostką jest wiszący na ścianie polski plakat tegoż filmu. Później szukamy muzeum berberyjskiego. Trafiamy tutaj na Arabkę, która po muzeum, również wydrążonym w skale, oprowadza nas i opowiada wiele rzeczy po francusku. Pomieszczenia pokazują historię regionu, jak wyglądały domostwa, tkactwo, rolnictwo itp. Na koniec inkasuje za to oprowadzanie 5 dinarów...

Z muzeum idziemy jeszcze do dwóch innych hoteli z podobnymi pokojami w skale. Po trzech godzinach wałęsanie się po osadzie, wracamy na postój louage. Hmm, ale tych osławionych potomków troglodytów ni widu ni słychu. Mieli mieć zielone oczy i rude włosy. Centrum osady już odżyło, kwitnie lokalny handel pietruszką i marchewką. Wiele osób stoi i rozmawia. Na postoju louage musimy poczekać trochę, bo akurat jedna taksówka odjechała, a my jesteśmy pierwsi do następnej. Będąc już w Nowej Matmacie, w jej centrum jesteśmy świadkami wypadku drogowego. Dwa samochody zderzyły się. Kierowca jednego z nich leży na ulicy, ale chyba nic mu się nie stało.

W Nowej Matmacie trzy razy zmieniają nam louage, ale w końcu wyjeżdżamy i po pół godzinie jesteśmy z powrotem w Kabisie. Przemieszczamy się teraz na duży postój louage. Od razu łapie nas Arab, który wciska nam usilnie, że nie ma połączeń do Sousse, tylko musimy jechać do Kairuanu i stamtąd dopiero dalej. Oczywiście mamy przecucie, że chce nas zabrać, bo brakuje mu osób w busiku. Idziemy dalej i okazuje się, że są połączenia z Sousse. Staję w kolejce po bilety, a Paweł idzie sprawdzić na przyległy dworzec autobusowy czy czasem stamtąd coś nie jedzie. Okazuje się, że rejsowy autobus jest za parę minut. Kupujemy bilety i dosłownie 10 minut później odjeżdżamy autobusem do Sousse. Wnętrze autobusu wygląda jakby przeszedł przez nie szwadron kibiców jakiegoś klubu piłkarskiego. Taka demolka, że szkoda gadać. Zaczynamy jazdę, okazuje się, że czeka nas prawie 4 godzinny powrót, o ludzie... czarno to widzę, a tu ani jeść się nie da, ani tym bardziej nic nie mamy ze sobą. Na dodatek coś dziwnie ten autobus się zachowuje podczas jazdy, ma spore problemy z amortyzacją. Na byle jakiej nierówności drogi pasażerowie skaczą na siedzeniach, niczym na trampolinie. Zastanawiam się, jak długo to wytrzymam, może i dobrze że nic nie jadłam, bo pomimo tego, iż nie mam choroby lokomocyjnej, to ta jazda jest w stanie doprowadzić mnie do ostateczności. Po niespełna godzinie jazdy autobus zjeżdża na pobocze. Okazuje się że dalej nim nie pojedziemy, nie wiem czy właśnie nie z powodu tej dziwnej jazdy. Tłum ludzi wypakowuje swoje bagaże. Czekamy na inny autobus. W tym czasie para Francuzów w pobliskim barze kupuje dwa kawałki pizzy i zjada je pod autokarem. W najlepsze zajadają się pizzą w środku dnia podczas Ramadanu i to na oczach Arabów. Francuzi przesadzili z tym jedzeniem pod autokarem.

Po 20 minutach czekania przyjeżdża inny autobus, który w większości jest już zapelniony. Dobrze, że wsiadamy z Pawłem jako jedni z pierwszych, toteż udaje nam się jeszcze usiąść, a reszta niestety musi stać. Ten autobus wygląda ciut lepiej niż ten wcześniejszy, ale i tak nic specjalnego. Przez kolejne pół godziny trwa przepakowywanie autobusu. Siedzę niestety koło nieładnie pachnącego Araba. Nie podoba mi się to. Ponadto dwa razy po drodze zjeżdżamy na pobocze, a kierowca uruchamia silnik, bo mu gaśnie. Czas wlecze się niemiłosiernie. Już wiadomo, że dzięki temu przerywnikowi ze zmianą autobusów czas podróży się wydłuży. Umrę z głodu. Za oknem co jakiś czas mijamy stoiska, gdzie wiszą skóry owcze, świeże mięso owcze lub kozie, albo dopiero co zabite zwierzę, z którego kapie krew. Jedziemy również przez miejscowość El-Dżem, przejeżdżając obok ogromnego koloseum. Niewiele dorównuje panoramie El-Dżemu i jego starożytnego koloseum, przytłaczającego ogromem pudełkowate zabudowania nowoczesnego miasta. Ten jeden z najbardziej imponujących zabytków rzymskich w Afryce zbudowano na równinie w połowie drogi między Sousse i Safakisem. Koloseum było niegdyś dumą rzymskiego miasta Thysdrus, zbudowanego w I w. na skrzyżowaniu głównych szlaków handlowych Sahelu. Thysdrus stworzył swą potęgę w oparciu o oliwę z oliwek - szczyt jego rozwoju gospodarczego

przypadł na przełom II i III w. W XVII w. wojska Mohammeda Beja wysadziły część zachodniego muru koloseum, aby rozgromić miejscowe plemiona. Wyrwa została poszerzona podczas kolejnej rebelii w 1850 r. Wpisane na Listę Światowego Dziedzictwa Przyrodniczego i Kulturalnego UNESCO koloseum było trzecią, co do wielkości budowlą tego typu w rzymskim imperium. Rozmiary amfiteatru są imponujące: 138 m długości, 114 m szerokości, z trzema rzędami siedzeń, sięgających na wysokość 30 m. Budowla mogła pomieścić 30 tys. osób, czyli więcej niż liczba mieszkańców miasta. Budowlę wzniesiono prawdopodobnie w latach 230-238 n.e. za czasów Gordiana, afrykańskiego konsula, a zarazem właściciela ziemskiego i mecenasa. Budulec sprowadzano z oddalonych o 30 km kamieniołomów w Sulectum (dzisiejsza Salakta) na wybrzeżu, a wodę doprowadzono podziemnym akweduktem ze wzgórz oddalonych 15 km na północny zachód od miasta. Amfiteatr był wiele razy wykorzystywany do celów obronnych. W jego murach pod koniec VII w. broniła się przed Arabami księżniczka berberyjska Al-Kahina. Jak głosi legenda, koloseum było kiedyś połączone tunelem z nadmorskim miasteczkiem Salakta, dzięki czemu Al-Kahina mogła dręczyć atakujących wrogów, wymachując w ich kierunku... rybami.

Wchodzących do amfiteatru uderza rozmach wizji rzymskich budowniczych. Na najlepiej zachowanej południowej ścianie widać rzędy siedzeń, opadające aż do otoczonej marmurowym murem areny, pod którą biegły sklepione łukowato korytarze. W bramie wejściowej jest prezentowana artystyczna rekonstrukcja pierwotnego wyglądu koloseum. Obecnie można wejść na sam szczyt widowni i stamtąd podziwiać arenę, a także zobaczyć ciągnące się pod nią dwa długie korytarze, w których przebywali gladiatorzy, zwierzęta oraz inni uczestnicy krwawych spektakli, rozgrywających się ku uciechu zgromadzonych na trybunach tłumów. To tu przyszłe ofiary spędzały ostatnie samotne chwile swego życia, słuchając ryku 30 tys. ludzi spragnionych ich krwi.

W autokarze działa TV, toteż w ramach zabicia czasu próbuję się na niej skupić mimo tego, że nic nie rozumiem. Pokazują w niej nawet dokładnie co do minuty czas zachodu słońca w danym mieście, a co za tym idzie czas, kiedy można zasiąść do posiłku.

Zamiast po 4 godzinach do Sousse docieramy po 5 godzinach i 15 minutach. Jest 18:15 teraz musimy szybko wsiąść do taksówki, póki jeszcze jest pół godziny do wieczornego posiłku Arabów. Kierowca gna do Monastiru na złamanie karku. Dystans 25 km pokonuje w niespełna 20 min, jadąc nawet po 140km.h. Jadąc z taką prędkością ma jeszcze czas aby zbierać od ludzi pieniądze za przejazd. Arabowie mają taki zwyczaj płacenia w trakcie jazdy. Natomiast kierowca nie zważając na prędkość swojego pojazdu, przyjmuje opłatę, wydaje resztę, czasami w ogóle nie patrząc na drogę.

W Monastirze jesteśmy tuż przed 19 i także pędzimy do hotelu, bo zaraz rozpocznie się czas hotelowego posiłku, a my od śniadania dzisiaj nic nie jedliśmy. Z przyjemnością więc zasiadam do duszonego kurczaka, rybnych kotletów, makaronu, papryki faszerowanej mięsem, potem do dokładki i deseru z winogron. A potem to już się nie mogę ruszyć taka jestem objedzona.

Po obiedzie zamieniamy kilka słów z panią Basią i jej mężem, która jest bardzo ciekawa jak nam udał się wyjazd i czy widzieliśmy... fatamorganę. Wyciąga nawet kartkę, gdzie sama zapisała różne programy wycieczek, aby mogła sobie porównać.

Wracamy do pokoju, kąpiemy się, wypijamy kolejny drink z naszej weselnej wódki i padamy spać niczym kawki...

20.10.2006 (piątek)

No i się wyspaliśmy i jako ostatni zeszedliśmy na śniadanie, jedząc już to, co zostało i to bez jajek...

Po śniadaniu przyszedł czas na zakupy pamiątek. Najpierw kupiliśmy mały czajniczek, a Paweł bardzo ciekawy składany stojaczek z miseczką. W sklepie ostro się targowaliśmy o te rzeczy, a każdą z nich zbiliśmy o ponad 50% od ceny wyjściowej. Sprzedający Arab targował się z nami po polsku. Całkiem niezłe mu to szło, znał sporo polskich słów. W innym sklepiku nic nie chcieliśmy kupić, mimo namowy sprzedającego, no więc na koniec dowiedzieliśmy się, i to po polsku, że to sabotaż. W stoisku z ceramiką, obok którego niemal codziennie przechodzimy zakupując biało-niebieskie miseczki. Z kolei w markecie spożywczym zaglądamy pod magiczną kotarę i wyciągamy dwa tunezyjskie wina.

Z medyny idziemy na głośny targ, który odbywa się tuż za murami medyny. Sprzedawane są tu tzw. mydło i powidło. Za przysłowiowego dinara można kupić plastikowe różne tandetne rzeczy. Są tu także stoiska z pieczywem, warzywami i owocami, ciasteczkami. Wchodzimy także do zadaszzonego bazaru gdzie oprócz stoisk z warzywami i mięsem wiszącym na hakach, łącznie z krowimi i baraniami głowami, na głównej hali trwa wielki targ rybny. Ruch i zgiełk niesamowity. Sprzedający dwoją się i troją, aby obsłużyć napierający tłum ludzi. Pokrzykują zachwalając swój towar. A jest tu wszystko od niezliczonej ilości gatunków małych ryb poprzez ośmiornice, aż po wielkie tusze tuńczyka, czy rekinka, albo egzotycznych ryb. Można zobaczyć, jak patroszy się takiego tuńczyka. Kilka sprawnych ruchów i tusza jest wypatroszona i można ją kupować. Ogromny tuńczyk sprzedaje się w kawałkach w kilka minut, a sprzedający wyciąga kolejną sztukę. Robimy dużo zdjęć tego miejsca i sporo czasu w nim spędzamy. Na koniec wypatruję stoisko ze stosem melonów w cenie 80 groszy za kilogram. Szkoda, że w Polsce nie ma melonów w takiej cenie. Po powrocie do hotelu od razu zabieram się za pałaszowanie melona. Pycha.

Jest piękna pogoda, a my dzisiaj nie wybieramy się poza Monastir. Po trzech dniach jazdy po miejscowościach południa kraju, dzisiaj przyszedł czas na odpoczynek. Toteż popołudnie spędzamy na plaży. Okazuje się, że dla gości hotelowych leżaki są tam za darmo. To chyba dlatego, że zniknęły spod hotelowego basenu, a z samego basenu wypuszczono wodę. Opalamy się. Paweł czyta książkę, a ja zastanawiam się nad organizacją wyjazdu do Tunisu. Co jakiś czas idziemy się wykąpać w morzu. Błogie lenistwo przez kilka godzin. Wracając do hotelu pod schodami prowadzącymi z plaży, przyłapujemy dwóch młodych Arabów, na zajadaniu faszerowanych bagietek. No ładnie. Pierwszy raz widzimy kogoś łamiącego w Ramadanie zakaz jedzenia podczas dnia.

Wracamy do hotelu, gdzie bierzemy kąpiel, aby zmyć z siebie całą sól, a później idziemy na dworzec kolejowy, aby zakupić bilety do Tunisu na niedzielę. Odwiedzamy także kawiarenkę internetową, aby po tygodniu nie sprawdzania poczty internetowej, zobaczyć co tam słychać. Trafia mi się typowa arabska klawiatura z poprzestawianymi literami na klawiaturze, no i przez pół godziny mecze się pisząc jakieś szybkie maile. Stąd idziemy na targ, gdzie ruch i zgiełk wcale nie zelżały. Teraz można kupić pieczywo i ciasteczka. Podczas naszego spaceru ponownie słyszymy ów armatni wystrzał ogłaszający zachód słońca, a potem wezwanie muezina do meczetu na wieczorną modlitwę.

Schodzimy na obiad. Jak zwykle obfity, kilka sałatek, ryby, pieczone ziemniaki, papka paprykowa z kiełbaskami merguez, wołowina, a na deser pucharki z owocami granatu.

W recepcji mówią nam, że zwiększa się prawdopodobieństwo, iż święto kończące Ramadán przypadnie w poniedziałek. W końcu zaczynają być pewni co do daty.

W naszym hotelu pojawia się czarny kot. Nazywam go „piętrowy”, bo siedzi przede wszystkim na pierwszym piętrze, albo śpi tam na sofie lub fotelach.

21.10.2006 (sobota)

Wstajemy o 7 rano. Jestem niewyspana. W nocy budziły mnie kąsające komary i głośno grająca do 3 w nocy muzyka z pubu obok hotelu. Na śniadaniu się ożywiam, bo w końcu jest coś nowego. Dzisiaj podali również biały twaróg. Ale super odmiana.

O 8 jesteśmy już na postoju louage i okazuje się, że z Monastiru jest bezpośrednio połączenie z Safakisem dokąd dzisiaj jedziemy. Po 20 minutach busik jest pełny i ruszamy. Przed nami 150 km jazdy na południe. Jedziemy trasą biegnącą wybrzeżem, gdzie na zatoce widać mnóstwo łodzi rybackich, które jeszcze są w trakcie połowów. U wybrzeży z kolei ptaki brodzą w płytkiej wodzie poszukując drobnych rybek. Poza tym mijamy liczne plantacje drzew oliwnych. Taksówka pruje niczym strzała, dopiero w Safakisie zwalnia i porusza się niczym żółw przedzierając się przez uliczne korki wielkiego miasta. Po 2,5 godzinach jazdy jesteśmy w Safakisie. Najpierw musimy opuścić ogromny postój louage, gdzie wśród taksówek kłębi się tłum osób z walizkami, torbami, tobołami chcącymi pojechać do rodziny na święto kończące Ramadan.

Najciekawszym zabytkiem Safakisu, drugiego co do wielkości miasta Tunezji, jest najpiękniejsza w kraju, świetnie zachowana i do dziś zamieszкана medina. Ponieważ miasto omija większość grup turystycznych, panuje tu spokój zachęcający do pozostania na kilka dni. Wybrzeże wokół Safakisu było zamieszkiwane już za czasów Fenicjan, ale żadne z powstałych wtedy miast nie zyskało większego znaczenia. Sytuacja zmieniła się w VIII w., kiedy Arabowie zbudowali Safakis. W połowie IX w. Aghlabidzi wzniesli potężne mury obronne - ich przydatność można było ocenić już w XI w., podczas najazdu Hilalitów. Safakis oparł się tej inwazji i wyrósł na ważny ośrodek na południu Tunezji. W XIV w. kontrolował całe wybrzeże aż po Trypolis w Libii, a do początku XVII w. był niezależny od centralnego rządu w Tunisie. Obecny wygląd miasto zawdzięcza Francuzom, którzy pod koniec XIX w. zbudowali ville nouvelle na południe od medyny i rozwinęli port, aby móc eksportować fosforyty z kopalni w Gafsie. W przeciwieństwie do nowego miasta, centrum ma zwartą zabudowę. Większość instytucji oraz atrakcji turystycznych skupia się w ville nouvelle, między medyną a portem.

Turyści przyjeżdżają do Safakisu głównie po to, aby zwiedzić medynę, jedną z najpiękniejszych w kraju. Jej czar wiąże się z faktem, że pozostała na uboczu, poza trasami wycieczek. Trasa rozpoczyna się przed głównym wejściem do medyny od strony południowej, zwanym Bab Diwan. Zwieńczona trzema łukami brama, dobudowana w 1306 r., stoi w środku najbardziej imponującej części potężnych wałów obronnych. Na północ od wejścia widać ozdobną wschodnią ścianę Wielkiego Meczetu (udostępniany tylko muzułmanom), wzniesionego przez Aghlabidów w połowie IX w. Turyści mogą zobaczyć jedynie niewielką część zdobień na wschodniej ścianie; trzy pozostałe zasłaniają suki. Ozdobny minaret z piaskowca (mała replika trzypoziomowego minaretu z meczetu w Kairuanie) dobudowali Fatymidzi w 988 r. Trasa wiedzie dalej do cudownego świata zadaszonych suków. Główny z nich, który ciągnie się na północ, to słynny Souq des Etoffes. Tutaj i w medynie kręcono niektóre sceny filmu Angielski pacjent (suk udawał targ w Kairze). Po przedarciu się przez Souq des Etoffes dochodzi się do rue des Teinturiers, przy której, w stosownej odległości od Wielkiego Meczetu, działały kiedyś farbiarnie. Droga prowadzi dalej do rue Abdelkader, przedzierającej się przez północny mur medyny jedną z oryginalnych bram aghlabidzkich - Bab Jebli. Niedaleko stoi stary Funduq des Forgerons. Budynek nie pełni już funkcji funduku, ale wciąż jest siedzibą kowali (forgerons). Wizyta w tym miejscu pozwala cofnąć się w czasie o sto lat, do świata osmolonych twarzy, dymiącego ognia, rozgrzanego do czerwoności metalu i odgłosów nieustannego uderzania młotem. Dobry widok na dziedziniec roztacza się z pierwszego piętra. Jest to najbardziej charakterystyczne miejsce, w którym kręcono sceny Angielskiego pacjenta.

Wsiąkamy na dłuższy czas w medynę i jej wąskie zapchane towarami i ludźmi uliczki. Ruch jest ogromny. Arabowie kupują tony jedzenia na zakończenie Ramadanu, prezenty oraz

odświętne ubrania. Co jakiś czas utykamy w korku, trzeba się naprawdę namęczyć aby przepchać się przez ten tłum kupujących ludzi. Próbujemy usilnie znaleźć opisany w przewodniku targ kowali i nijak nam to wychodzi. W końcu odnajdujemy miejsce z tabliczką informującą, że tu jest ów suk, ale wejście na wewnętrzny dziedziniec jest zamurowane. Szkoda, z drugiej strony ciekawe dlaczego. Podczas przeciskania się przez kolejne uliczki trafiamy na bazar mięsny. Zapach okropny, widok makabryczny, wszędzie dookoła mięso, głowy, skóry, wnętrzności. Uciekamy stamtąd czym prędzej. Chodząc po medynie robi mi się coraz goręcej i słabo, w końcu gdy wychodzimy poza mury moim celem jest tylko jedno jak najszybciej znaleźć toaletę. Na szczęście była niedaleko. Czyżby zaszkodził mi twarożek na śniadanie? Od razu mi lepiej, idziemy poszukać miejsca aby coś zjeść, a ja żeby napić się coca-coli. Siadamy w restauracji, tradycyjnie schowani za ścianą. Wypijam upragnioną colę, a Paweł zjada jajecznego brika.

Później idziemy do Bordż Ennar to nieduży XVI-wieczny fort wzniesiony w celu zabezpieczenia południowo-wschodniego rogu medyny. Obecnie mieści się w nim Association de Sauvegarde de la Medina (zespół odpowiedzialny za stan medyny), gdzie mają bardzo dobrą mapę starego miasta z zaznaczonymi 69 meczetami, sukami i innymi obiektami historycznymi. Stąd natomiast nasze kroki wiodą do kazby, która początkowo pełniła rolę wieży obserwacyjnej. Została wzniesiona przez Aghlabidów jako część murów obronnych, a przez kolejne stulecia rozrosła się do obecnych rozmiarów. Mijamy tunezyjską delegację ministerstwa ds. turystyki, kupujemy bilet wstępu i wchodzimy. Właściwie nie ma tu wiele, ale najciekawszą jest wieża, z której roztacza się widok na miasto.

Po kilku godzinach wracamy na postój louage i bez problemu znajdujemy louage do Monastiru, a z racji przedświątecznych podróży komplet jest po paru chwilach. 2,5 godziny jazdy i z powrotem jesteśmy w hotelu prosto na wieczorny obiad. Dzisiaj hotel serwuje m.in. pysznego kurczaka w kawałkach, a także spaghetti, na deserek ponownie melon.

Praktycznie tuż po posiłku idziemy spać, bo jutro mamy pobudkę o 4:30 i jedziemy do Tunisu.

22.10.2006 (niedziela)

Budzik dzwoni o 4:30, za oknem czarna noc, a my wstajemy bo jedziemy do Tunisu. Robimy śniadanie w pokoju i wychodzimy. Na piętrze budzi się zaspany kot i przygląda się kto to płacze się po hotelu o takiej porze. Na parterze portier rozłożony na sofie pochrapuje w niebogłosość, więc go nie budzimy, żeby zostawić klucz. Wychodzimy, brama zamknięta toteż przełazimy przez murek. Idziemy wzdłuż murów medyny, gdzie rozlokowane są liczne stragany. Teraz pozamykane, ale ich właściciele śpią wewnątrz opatuleni kołdrami.

Na dworcu ruch niewielki, trochę osób z walizkami. Pociąg przyjeżdża punktualnie, zajmujemy miejsca, tym razem w wagonach 2 klasy już bez rozkładanych siedzeń i o 5:40 ruszamy do Tunisu. Paweł prawie od razu zasypia, ja siedzę i próbuję też trochę jeszcze pospać, ale jakoś mi to nie wychodzi. Czekam aż zrobi się jasno, a to jeszcze dużo czasu. Pociągiem strasznie rzuca. Już dawno nie widziałam aby pociąg tak jechał. U nas najgorsza elektryczka to super pociąg.

Im bardziej na północ tym coraz więcej pojawia się zieleni. Pod drzewami oliwnymi rośnie trawa i licznie pojawiają się śródziemnomorskie cyprysy. Tuż przed 9 jesteśmy na dworcu w Tunisie. Idziemy kupić na popołudnie bilet powrotny, ale okazuje się, że źle spojrzeliśmy na rozkład i pociąg o godzinie 15 akurat w niedzielę nie jeździ. No nic trudno, jakoś wrócimy, a louage na pewno będą jeździły. Poradzimy sobie później.

Spokój panujący w Tunisie zupełnie nie przystaje do gorączkowej atmosfery charakterystycznej dla innych arabskich stolic, jednak w porównaniu z resztą kraju sprawia

wrażenie metropolii. Bulwary i kawiarnie we francuskiej ville nouvelle stoją w cieniu eleganckich XIX-wiecznych budynków, hoteli i domów z wysokimi okiennicami, a przy pełnych zgiełku ulicach roi się od patiserii i tętniących życiem restauracji. Prosty i przejrzysty układ ulic żywo kontrastuje z urokiem krętych zakamarków medyny - magicznego labiryntu pełnego urzekających meczetów i kawiarni.

Tunis (w starożytności nazywany Tynes) powstał we wczesnym okresie ekspansji Kartaginy, a jego nazwa zaczęła pojawiać się na mapach od V w. p.n.e. W 255 r. p.n.e. podczas I wojny punickiej stacjonował tu rzymski generał Regulus. Rzymianie po zwycięstwie nad Kartaginą nie wykazywali zainteresowania miastem i jego nazwa na długo zniknęła z kart kronik. Pojawiła się ponownie dopiero w VII w. n.e. wraz z przybyciem Arabów. W 695 r., po wygnaniu Bizantyńczyków z Kartaginy, zwycięski Hassan bin Nooman uznał, że pod względem obronnym Tunis jest lepiej usytuowany i nakazał jego rozbudowę. Pierwszą medinę wzniesiono na wąskim wyżynnym pasie, otoczonym od południowego zachodu przez Sebkhet Sejoumi (Słone Jezioro), a od wschodu przez Jezioro Tuniskie. Przez drugi zbiornik przekopano kanał, dzięki któremu miasto zyskało dostęp do morza.

Narodziny Tunisu można wiązać z wybudowaniem meczetu Zitouna (Wielki Meczec) w 732 r. Jednak dopiero w IX w., kiedy aghlabidzki władca Ibrahim ibn Ahmed II wznosił tu swoją rezydencję, miasto zyskało na znaczeniu. Sława miała jednak krótki żywot, bowiem podczas panowania dynastii Fatymidów w X w. stolicą została Mahdija. Ponieważ w czasie najazdu plemienia Banu Hilal w XI w. nie spustoszone Tunis, po podboju północnej Afryki przez Almohadów w 1160 r. powtórnie ustanowiono go stolicą. Lata panowania Hafsydów (1229- 1574) były dla Tunisu okresem największego rozkwitu. Liczba ludności wzrosła w tym czasie trzykrotnie (do około 60 tys.), budowano sukki, meczety i medresy (szkoły koraniczne), prężnie rozwijały się kontakty handlowe z Europą, a przy Wielkim Meczecie założono jeden z największych islamskich uniwersytetów.

Miasto mocno ucierpiało podczas walk między Turkami osmańskimi, a Hiszpanami, którzy pozbawili Hafsydów władzy. Ostatecznie Tunis zdobył dla Turków Sinan Pasza w 1574 r. Wkrótce zapomniano o wojnie i do miasta zaczęła napływać ludność, m.in. andaluzyjscy uchodźcy uciekający przed religijnymi prześladowaniami, a także żydowscy wygnańcy z włoskiego Livorno. Pośród nich było wielu uzdolnionych rzemieślników, którzy odegrali istotną rolę w odbudowie miasta.

Kolonizacja francuska stworzyła nowy ośrodek życia miejskiego. Francuzi nie ingerowali w zabudowę starej części, lecz wzniesli eleganckie ville nouvelle (nowe miasto) na terenie zmeliorowanego Jeziora Tuniskiego na wschód od medyny.

Na początek jedziemy do Muzeum Bardo. Wsiadamy do zielonego tramwaju-metra i jedziemy w pobliże muzeum. Z przystanku kawałek idziemy pieszo, gdyż trzeba obejść sporą część zabudowań całego kompleksu, aby dojść do głównego wejścia.

Tuniskie Bardo jest najlepszym muzeum w kraju. Wizyta w nim to ważne i ekscytujące przeżycie. Zgromadzono tu większość ważniejszych znalezisk z licznych tunezyjskich wykopalisk. Muzeum słynie przede wszystkim ze wspaniałej kolekcji mozaik, które powstały na zlecenie zamożnych obywateli rzymskiej Afryki, a dziś są świadectwem ówczesnych obsesji, stylu życia oraz wierzeń Rzymian. W Bardo można podziwiać imponującą kolekcję marmurowych rzeźb, niestety, zniszczonych przez Wandalów, oraz zbiory Muzeum Islamskiego kontrastujące ze wszystkimi zgromadzonymi w budynku portretami, ponieważ muzułmańska sztuka koncentrowała się wyłącznie na motywach dekoracyjnych. Bardo warto odwiedzić choćby ze względu na sam budynek. Usytuowane na przedmieściu Le Bardo, około 4 km na zachód od centrum miasta, zajmuje dawny pałac Bardo, oficjalną siedzibę bejów husajnickich. Pierwszy pałac w tym miejscu wznosił hafsydzki sułtan El-Mustansir (1249-1277). Władca także odnowił i przebudował akwedukty z Zaghwanu do Kartaginy, aby zaopatrywały w wodę jego siedzibę oraz medinę. Obecna

budowla powstała pod koniec XVII w. i była sukcesywnie powiększana przez kolejne pokolenia Husajnidów do 1888 r., kiedy założono tu muzeum.

Przed wejściem do muzeum stoi już kilkanaście autokarów. Ja wchodzę za darmo, Paweł kupuje bilet, jeszcze tylko musimy zostawić w recepcji pleczaczki i możemy pójść pozwiedzać. Mając w przewodniku szczegółowy opis przemierzamy się z sali do sali. Całe muzeum jest pełne wycieczek, w tym również polskich. Poszczególne sale na parterze przedstawiają m.in. historię kraju w różnych okresach, pierwsze piętro to historia większych miast Tunezji oraz muzeum sztuki islamskiej oraz mozaiki, z kolei drugie piętro w całości poświęcone jest mozaikom. Hitem całego muzeum jest wykonany z brązu posąg pijanego Herkulesa. Piękne są mozaiki wykonane z różnokolorowych kamyczków przedstawiające ludzi, zwierzęta itp.

Z muzeum wracamy do centrum tramwajem metra, podczas jazdy dwoje biedaków żebrze, a jadący Arabowie chętnie dają im pieniądze. No tak jednym z filarów Islamu jest jałmużna, a tym bardziej w okresie Ramadanu, to dobry uczynek Ville nouvelle, której ulice biegną wśród starych francuskich budynków z oknami zasłoniętymi wysokimi okiennicami oraz balkonami z kutymi żelaznymi balustradami. Czuje się tu europejski styl, widoczny w kawiarnianych ogródkach i licznych patisseries. Oprócz kilku wspaniałych przykładów architektury kolonialnej, jest tu niewiele ciekawych miejsc. Jedyne słowo, jakie oddaje wygląd katedry St Vincent de Paul, to „dziwaczna”. Wybudowana w 1883 r. przez architektów kierujących się najwyraźniej zasadą „po co ograniczać się jednym nudnym stylem?”, tworzy rzadko spotykaną mieszankę gotyku i stylu bizantyńskiego z elementami mauretańskimi. Główne drzwi są zwykle zamknięte, jest jednak boczne wejście. Naprzeciwko świątyni stoi pomnik urodzonego w Tunisie wielkiego nauczyciela i filozofa islamu - ibn Chalduna. Akurat trafiliśmy na moment gdy skończyła się niedzielna msza. Katedra rzeczywiście jest pomieszaniem różnych stylów, ale to nadaje jej pewnego klimatu.

Główna ulica Tunisu Habib Burgiba, będąca promenadą tętni życiem. Tłumy ludzi zmierzają na przedświąteczne zakupy. Dzisiaj jest na to ostatni dzień. Policja na każdym skrzyżowaniu kieruje ruchem, wszędzie zapchane ulice. Każdy chodzi jak chce i zostawia samochód na poboczu tarasując płynny przejazd innych samochodów. Większość pobliskich ulic jest strasznie zapuszczona. Byłam przekonana, że w stolicy będzie bardziej nowoczesnie w porównaniu do innych miast kraju. Nic z tego, tylko promenada z główną ulicą jest okazała i reprezentacyjna, ale to i tak spadek po francuskiej przeszłości tego miasta.

Spod katedry idziemy na Plac Victorii i do głównej bramy prowadzącej do tuniskiej medyny. Wędrówka po medynie, wpisanej na Listę Światowego Dziedzictwa Kulturalnego i Przyrodniczego UNESCO, to niesamowite przeżycie. Rozbudowywany przez wieki labirynt tuneli i uliczek z mnóstwem ukrytych domostw emanuje magiczną atmosferą. Zabudowa stłoczona przy wąskich uliczkach latem pozwala utrzymać chłód, a zimą zatrzymuje ciepło. Alejki dookoła meczetu Zitouna są wypełnione sklepami z pamiątkami; nieco dalej można zobaczyć warsztaty, lokalne targowiska i dzieci grające w piłkę. Wybudowana pod koniec VII w. (tuż po arabskim podboju) medina była najważniejszym punktem miasta przez ponad tysiąc lat. Kiedy przybyli Francuzi i założyli ville nouvelle, straciła znaczenie ważnego centrum handlowego i zaczęła podupadać. Dziś mieszka w niej ok. 15 tys. osób, a sklepy z pamiątkami są podstawą działalności handlowej. Dużą część jej północnych dzielnic wyburzono w latach 30. i 40. XX w. w ramach programu usuwania slumsów, który miał zapewnić łatwiejszy dojazd do medyny.

Zaraz po przejściu przez główną bramę Bab Bahr po prawej stronie w okazałym biało-niebieskim budynku miała się mieścić ambasada brytyjska. Jednak budynek wygląda na opuszczony, na masztach brak flag brytyjskich. Najwidoczniej zmienili siedzibę.

Wchodzimy w labirynt uliczek, gdzie na każdym kroku jesteśmy zaczepiani. Wchodzimy do pierwszego sklepu z biżuterią, bo ja już od dłuższego czasu rozglądam się za

arabskimi kolczykami. Paweł chce mieć tę sprawę jak najszybciej z głowy i w pierwszym sklepie chce załatwić to, czego jak nie mogę znaleźć od kilku dni. Sprzedawca, kiedy już wie, że jesteśmy z Polski pyta: „Monika? Monika, dziewczyna ratownika”. Spryciarz. Oglądamy jego sklep i o dziwo znajdujemy kolczyki, które mi się podobają, są to dłonie Fatimy. Po targu kupujemy je za 11 dinarów. Przy okazji Arab zwraca uwagę na nasze obrączki i jest ciekaw czy to są takie antystresowe i czy środkowa obręcz się kreci. Potem przynosi srebrną obrączkę właśnie antystresową, której środkową obręcz można obracać. Ups... przy okazji opowiada nam jak to jest z Ramadanem i jego zakończeniem.

Po zakupie kolczyków zagłębialiśmy się w świat suków, gdzie tłumy ludzi dokonują zakupów. Na jednej z uliczek Arabowie kręcą sceny do chińskiego filmu. Arabska uliczka została zamieniona w chińską uliczkę z barem i dekoracją czerwonych lampionów oraz innymi motywami chińskimi.

Meczet Zitouna (meczec Drzewa Oliwkowego), znany także jako Wielki Meczec stanowi serce medyny. W pierwotnym kształcie wzniesiono go w 734 r. n.e., jednak w IX w. został całkowicie przebudowany na rozkaz aghlabidzkiego władcy Ibrahima ibn Ahmeda (856-863) w typowym dla Aghlabidów surowym stylu. Obecnie zarysem przypomina Wielki Meczec w Kairuanie. Przy budowie głównej sali modlitw użyto 200 kolumn ocalałych z ruin rzymskiej Kartaginy. W X w. dodano drugą kopułę, portyki, minaret i sklepione przejście. Wydział teologiczny meczetu był ważnym centrum islamskiej edukacji. Burgiba zdecydował o jego zamknięciu krótko po odzyskaniu przez Tunezję niepodległości, w ramach kampanii redukującej wpływ religii na życie społeczne. Wydział, znany jako Uniwersytet Zitouna, ponownie otwarto w 1987 r. Innowiercy są wpuszczani jedynie na dziedziniec meczetu. W medynie roi się od innych meczetów, wstęp do nich mają jednak tylko muzułmanie.

Wspaniałe przykłady architektury szkół koranicznych można podziwiać wokół Wielkiego Meczetu. Wyróżniająca się ozdobnie nabijanymi ćwiekami medresę zbudowano w 1673 r. na gruzach tureckich koszar zniszczonych podczas rebelii. Dzisiaj naucza się w niej tradycyjnych rzemiosł. Najstarszą z nich, Medresę Drzewa Pamowego wzniesiono w 1714 r. na miejscu funduku (zajazd). Jej nazwa pochodzi od palmy, która rosła na głównym dziedzińcu. Ponieważ szkoła nadal działa, budynku nie można zwiedzać. Medresa Bachia wyróżnia się niewielką fontanną koło wejścia oraz pomalowanymi w pasy łukami. Obiekt wybudował w 1752 r. Ali Pasza. Obecnie mieści się tu szkoła sztuki rzemieślniczej. W 1754 r. Ali Pasza wznosił kolejną medresę, Slimania, poświęconą pamięci syna władcy - Sulejmana, który zginął otruty przez brata. Dziś kilka pomieszczeń zajmuje Tunisian Medical Association (Tuniskie Stowarzyszenie Medyczne).

Tradycyjnie bazyry były podzielone na różne działy. Kupcy handlujący najbardziej eleganckimi towarami skupiali się w bezpośredniej bliskości Wielkiego Meczetu, natomiast pozostałe stoiska (np. garbarzy czy kowali) lokowano na obrzeżach. Rynki nosiły nazwę towarów, jakie na nich sprzedawano, lub grupy kupców, która je zakładała - np. Souq-el Grana to bazar Żydów z Livorno. Souq el-Attarine (suk perfumierski z XIII w.) w pobliżu Wielkiego Meczetu zalicza się do najważniejszych. Dziś handluje się tu nie tylko perfumami, ale także esencjami i olejkami. Obok jest Souq des Libraires (suk księgarzy), który również powstał w XIII w. Souq el-Attarine prowadzi w stronę Souq el-Trouk (turecki targ krawiecki), gdzie sprzedaje się głównie pamiątki. Jednym z największych targowisk jest Grand Souq des Chechias. Pełno tu przykurzonych sklepików obwieszonych czerwonymi czapkami. W XVII w. produkcja fezów stanowiła jedną z najważniejszych dziedzin gospodarki Tunezji - 15 tys. rzemieślników wytwarzało rocznie milion czerwonych nakryć głowy eksportowanych na cały świat, a znanych w Tunezji jako chechia. Souq el-Berka w czasach osmańskich był targiem niewolników, gdzie sprzedawano nieszczęśników złapanych na morzu przez muzułmańskich piratów. Dziś handluje się tu wyrobami ze złota.

Chodzimy i chodzimy na koniec trafiamy w miejsce gdzie znajduje się siedziba premiera. Zaczynam być strasznie głodna. Szukamy więc miejsca aby coś zjeść. Wszystkie restauracyjki pozamykane, albo chcą za kanapkę kosmiczną cenę. Idziemy więc z medyny do marketu. I tu kupujemy wielką butelkę coca-coli oraz francuskie bułeczki z czekoladą. Teraz pojawia się kolejny problem, bo gdzieś to trzeba zjeść, a wszędzie dzikie tłumy Tunezyjczyków. Człowiek głodny, w siatce jedzenie i nie ma się gdzie ukryć aby to zjeść. Wreszcie znajdujemy otwartą bramę w kamienicy i za drzwiami pałaszujemy bułeczki. O rety, nie ma to jak pełny żołądek. Posileni idziemy szukać postoju louage, aby móc wrócić do Monastiru. Po drodze mijamy pizzerię, która na dzień przed zakończeniem Ramadanu, zmieniła zakres swojej działalności przedstawiając się na wypiek i sprzedaż ciasteczek. Dzisiaj Arabowie kupują ciastka całymi pudłami. To ostatni dzień, kiedy są dostępne, następne dopiero za 11 miesięcy kiedy ponownie rozpocznie się czas Ramadanu. Niedaleko postoju louage zaczepia nas dwóch Arabów, z których jeden mówi, że niedaleko stoi louage do Sousse. Idziemy więc z nim kawałek dalej i rzeczywiście jest tam busik prawie już pełny. Arab okazuje się być jego kierowcą. Czekamy jeszcze na dwie osoby, które docierają po 20 minutach i o 15:30 ruszamy do Sousse.

Trasę z Tunisu do Sousse pokonujemy autostradą. Kierowca jedzie 140km/h, a w tym czasie rozgląda się po aucie, majstruje coś przy zasłonkach od strony pasażera, zamiast skupiać się na drodze. Skóra aż cierpnie, od tego co on robi przy tej prędkości. Po niespełna półtorej godzinie jazdy i pokonaniu ponad 150 km jesteśmy w Sousse, gdzie na skrzyżowaniu dróg kierowca przerzuca nas do louage do Monastiru. Po pół godziny jazdy jesteśmy z powrotem w Monastirze. Podróż louage w porównaniu z jazdą pociągiem była jak mgnienie oka. Wracając do hotelu można zobaczyć, że i tutaj trwa szal zakupów. Paweł kupuje po raz ostatni miodowe ciasteczka. Ostatni wystrzał armatni rozbrzmiewa w mieście, od jutra już go nie będzie.

Wykapani idziemy na obiad do hotelowej restauracji. Na obiad dzisiaj jest przepyszny gulasz, chrupiące naleśniki z ziemniakami oraz ryby, a na deser banany.

Po obiedzie idziemy do marketu zaopatrzyć się w napoje na jutrzejszy dzień, gdzie z racji święta wszystko ma być zamknięte. Arabowie z uśmiechem na twarzy informują, że kończy się Ramadan.

Po powrocie idziemy spać, bo po porannym wstawaniu jesteśmy naprawdę zmęczeni, ale tym razem się wyśpimy, bo jutro nigdzie nie jedziemy.

23.10.2006 (poniedziałek)

Święto w całym świecie muzułmańskim. Koniec Ramadanu. Od 7 rano z pobliskiego meczetu z głośników słychać nawoływanie na modlitwę. Dzisiaj na dodatek można posłuchać całego spotkania z głośników. Trwa ponad półtorej godziny, słychać modły, kazanie mułły, wierni co chwilę odpowiadają Allahu akbar. W tej chwili żal, że się nie zna języka arabskiego. Dzisiaj z racji święta też się nigdzie nie śpieszymy. O 8:30 schodzimy na śniadanie. Ha znowu podali twarożek, jak miło. Co parę minut dochodzi nas huk petard, to radość na zakończenie okresu postu.

Zaraz po śniadaniu idziemy na spacer pod ribat i pobliski meczet, aby zobaczyć co robią ludzie. Wielkie tłumy ludzi dookoła, właśnie niedawno wyszły z meczetów i stoją na pogawędkach, składając życzenia rodzinie i znajomym. Wszyscy odświętnie poubierani. Idziemy w stronę mauzoleum i cmentarza, a tam naszym oczom ukazują się jeszcze większe tłumy ludzi, które po wizycie w meczecie całymi rodzinami udały się na groby zmarłych bliskich. W zwykły dzień miejsce to ciche i spokojne, a dzisiaj jest jak w ulu. Nawet promenada przed mauzoleum szczelnie wypełniona ludźmi i zaparkowanymi samochodami.

W pobliżu z kolei trwa wesoły jarmark, gdzie dzieci mogą skorzystać z huśtawek, karuzeli itp, a dorośli kupują nadziewane kanapki i grillowane kielbaski merguez. Poza tym rozstawione są stoiska z cukierkami, orzeszkami, zabawkami.

Opuszczamy ten cały harmider i idziemy do mediny, która dzisiaj dla odmiany jest niczym wymarła osada. Nie ma straganów z pamiątkami, nie ma ludzi, jest cisza i błogi spokój. Wszystko pozamykane, tylko nieliczni turyści przechadzają się uliczkami starej części Monastiru. Ciszę miasta raz po raz przerywają wystrzały kapiszonów i petard, bawiących się dzieci. Na jarmarku można zaopatrzyć się w bogate zestawy.

Wracamy do hotelu. Dzisiaj mamy dzień obiboka, czyli słodkiego lenistwa. Czekają nas dzień plażowania. Pogoda do tego jest dzisiaj wręcz idealna. Po kilkugodzinnym opalaniu idziemy na spacer do tutejszej mariny. Przystań podobna trochę do tej z Portu el-Kantoui, ale nie jest jeszcze tak ekskluzywna jak tamta. Dzisiaj można tu spotkać bardzo dużo Tunezyjczyków, którzy popołudniem wybrali się na świąteczny spacer i obsiedli większość kafejek. Teraz mogą nadrabiać miesięczne zaległości w przesiadywaniu w różnego rodzaju restauracjach.

Na obiad mamy dzisiaj kurczaka z barwionym na żółto ryżem, paprykowo-cukiniową papkę, frytki, ryby i oczywiście kilka smacznych sałatek. Z racji tego, że popołudniu otworzyła się część kafejek ruszamy do jednej z nich w medinie, aby posiedzieć chwilę i napić się herbaty miętowej. Oczywiście wypełniona jest ludźmi, którzy zajęli prawie wszystkie stoliki i czas spędzają pijąc kawę albo paląc sziszę, a na telebimie leżą arabskie videoclipy.

Dzisiaj będę spać spokojnie. Przyhotelowy pub zamknięty na cztery spusty, koniec więc z głośną arabską muzyką do 3 w nocy. Od paru dni w obrębie hotelu wszystko sprzątają – wodę z basenu spuszczone już jakiś czas temu, zniknęły leżaki, a ostatniej nocy – dokładnie o 1:30 obsługa sprzątała spod okna 9 stolików i około 30 krzeseł szurając nimi w niebogłosy. Ponadto zniknęła nasz pokojówka i już nikt nie zmienia ręczników, ani tym bardziej nie układa z ręczników i pościeli fantazyjnych wzorów na łóżku. Teraz tylko ktoś zamiata i wyciera podłogę. Widać, że hotel tylko czeka, aż wyjedziemy aby zamknąć go po sezonie. I tak, że dla tych 11 osób jest otwarty...

24.10.2006 (wtorek)

Wstajemy wspaniani rano na śniadanie, gdzie obowiązkowo jemy jajka na twardo. Cholesterol po tym tunezyjskim śniadaniu chyba nieźle skacze, tak codziennie jajka na twardo... Po śniadaniu pędzimy na dworzec kolejowy. Idąc wzdłuż murów mediny naszym oczom ukazuje się niesamowity widok. Miejsca gdzie do niedzieli były stoiska z ubraniami, butami itp. zniknęły, a pozostał niesamowity śmietnik. Dookoła mnóstwo worków, kartonów i innych śmieci. Musieli zwinąć swoje stragany przed poniedziałkowym świętem, ale brud im nie przeszkadza. Te wszystkie stoiska były tak jak u nas takim przedświątecznym jarmarkiem.

Dzisiaj jedziemy do ostatniej przed naszym wyjazdem miejscowości – Mahdii. Po godzinie i 15 minutach jesteśmy na miejscu.

Mahdija przypomina niewielką wioskę rybacką z północnego wybrzeża Morza Śródziemnego przeniesioną do uroczego, starego arabskiego miasteczka. Położenie na małym cyplu hamuje rozwój miasteczka, ale gwarantuje zyski strefie turystycznej, ciągnącej się wzdłuż wybrzeża. Zabytkową Mahdiję zamieszkuje wielu młodych ludzi, nieodczuwających potrzeby szukania szczęścia gdzie indziej. Przesiadując w cieniu drzew na pięknym placu du Caire lub penetrując zwartą medinę, szybko można zmienić plany i zostać tu dłużej, niż się zamierzało. Miasto zostało założone w 916 r. przez pierwszego kalifa fatymidzkiego Ubajdullaha, zwanego El-Mahdi (zbawiciel świata). Szukał on siedziby łatwej do obrony,

gdzie mógłby spokojnie planować atak na Kair. Mahdija na kamiennym cyplu spełniała jego oczekiwania. W najważniejszym miejscu, gdzie półwysep łączy się z lądem, wybudowano masywny mur o szerokości 10 m, z doskonale ufortyfikowaną bramą, zwaną Skifa el-Kahla. Mniejsze mury okalające pozostałą część półwyspu uformowały ogromną kazbę, zarezerwowaną dla El-Mahdiego i jego świty. Poddani mieszkali poza murami. Medina nadal żyje swoim życiem, jednak większość z 30 tys. mieszkańców zamieszkuje nowoczesne przedmieścia na zachód od Skifa el-Kahla.

Główną atrakcją Mahdii jest cicha medina, która rozciąga się wzdłuż cypla od Skifa el-Kahla do latarni na Cap d'Afrique, 1,5 km na wschód. Jest to wymarzone miejsce do spacerów - wystarczy tylko wybrać jedną z wąskich brukowanych uliczek i wędrować, gdzie oczy poniosą. Trasa zaczyna się przy masywnej warownej bramie Skifa el-Kahla, jedynej pozostałości po zabudowie z czasów Fatymidów. Określenie „brama” nie jest zbyt trafne, ponieważ jest to wąski sklepiony korytarz o długości 50 m, który niegdyś chroniło kilka żelaznych bram i potężna krata. W dzień targowy wypełnia się straganami - łatwo sobie wyobrazić, jak wyglądał wjazd do miasta w dawnych czasach. Aby dostać się na szczyt bramy, skąd roztacza się piękna panorama, trzeba wejść do przylegającego do niej muzeum. Niewielki place du Caire najlepiej oddaje urok Mahdii. Kawiarnie pod rozłożystymi koronami drzew stanowią doskonałe miejsce relaksu i kontemplacji pięknie zdobionej łukowej bramy i ośmiokątnego minaretu na południowym krańcu placu. Budowle należą do wybudowanego w 1772 r. meczetu Mustafy Hamzy, z pięknie zdobioną łukową bramą i ośmiokątnym minaretem, wybudowanego w 1772 r. Wielki Meczet po północnej stronie place Khadi en-Noamine jest XX-wieczną rekonstrukcją oryginalnej budowli Fatymidów wzniesionej w 921 r. przez Ubajdullaha, a później zniszczonej przez wojska hiszpańskie w 1554 r., podczas wysadzania murów obronnych. Replikę zbudowano w 1965 r., kosztem wzniesionego tymczasowo meczetu i otaczających go domów, dlatego budowla obecnie stoi na pustkowiu. Niemuzułmanie mogą podziwiać dziedziniec jedynie w przerwach między modłami. Wielką fortecę Bordż el-Kebir wzniesiono w najwyższym punkcie przylądka, skąd góruje nad medyną posępna surową bryłą. Twierdzę zbudowano w XVI w. na ruinach budowli Fatymidów. Fragmenty murów Fatymidów rozsiane po wybrzeżu od okolic Wielkiego Meczetu po Cap d'Afrique dają wyobrażenie, jak wyglądało miasto chronione pierścieniem fortyfikacji przed inwazją z morza. Zachował się również stary port Fatymidów z potrzaskanymi filarami, stanowiącymi kiedyś główną część umocnień.

Zaczepliwszy przez ulicznych sprzedawców wchodzimy do medyny. W jednym ze sklepików Paweł kupuje drewnianego wielbłąda. Na ulicach trwa wielki jarmark, gdzie dzieci mogą kupić m.in. tandetne plastikowe zabawki na czele z karabinami i petardami. Raz po raz słychać gdzieś wybuch. Idziemy do meczetu, tu dzieci rzucają nam pod nogi petardy i mają z tego zabawę. Nam wcale nie jest do śmiechu. Idziemy również zobaczyć fort, z którego rozpościera się ładny widok na morze, miasto oraz cmentarz, przez który poprowadzono asfaltową drogę. Widać, iż drogę zrobiono dużo później niż cmentarz, bo niektóre groby niemalże wchodzą na ulicę. Z fortu przez cmentarz udajemy się do pozostałości starego portu Fatymidów, a później okrążając cypel z latarnią spokojnymi uliczkami medyny wracamy do centrum. Na kolorowym jarmarku wypijamy colę i zjadamy małe ostre i nadziewane kanapki. Idziemy przez kolorowy od stoisk z zabawkami jarmark. Każdy coś kupuje. Oprócz stoisk z zabawkami są również miejsca gdzie w wielkich kopcach na ziemi rozłożone są różne gatunki orzechów. Są również stoiska z lodami, które robione są na miejscu. Można również za opłatą skorzystać z atrakcji – rzut kółkiem do butelki, próby siłowe itp.

Wracamy na dworzec i po pół godzinie wsiadamy do pociągu. Z każdą kolejną stacją w pociągu robi się coraz tłoczniej. Większość osób ma jeszcze dzisiaj wolne i wraca od rodzin wioząc miski wypełnione cukierkami i orzechami. Ostatnie stacje przejeżdżamy w totalnym ścisku. Na każdej stacji odjazd się opóźnia, bo ludzie muszą upchać się do środka. Z

ulgą opuszczamy wagon w Moanstirze, a z nami również pokaźny tłum Tunezyjczyków. Dzisiaj już nie da się nigdzie kupić ramadanowych ciasteczek, a w markecie zniknęła kotara zasłaniająca szafę z alkoholem.

Po powrocie do hotelu wskakujemy pod prysznic, bo od panującego w pociągu gorąca i duchoty jesteśmy cali spoceni. Na korytarzu spotykamy naszych sąsiadów zza ściany. Pani Basia znalazła pewien problem. Pyta mnie, czy nie sadzę, że biuro nas oszukało o jeden dzień pobytu, bo osoby z Gdańska wracają dzień później. Mnie się wszystko zgadza i tłumaczę jej, że jest w porządku, bo te osoby z Gdańska przyleciały dzień po nas. Ale z tego co już zdążyliśmy ją poznać, wiem że musi wynajdywać co jakiś czas pewien problem. W pokoju leżę i odpoczywam słuchając dobiegającej zza ściany rozmowy na temat długości wczasów. Pani Basia swoim gromkim głosem liczy czas pobytu – dni i noclegi. Potem wertuje katalog w poszukiwaniu co to jest doba hotelowa, kiedy się zaczyna i kończy. Rety dobrze, że jeszcze nie odkryła, iż doba hotelowa kończy się śniadaniem, a z racji tego że mamy lecieć w nocy tego śniadania nie będzie Reklamacja do biura jak nic murowana, a tak na marginesie ten twaróg na śniadanie to podobno jej zasługa, bo dzwoniła do rezydentki, że już ma dość monottonnych śniadań. W pewnym momencie zza ściany dobiegają niecenzuralne słowa, to pan Grzegorz stracił cierpliwość do wysłuchiwania żony.

Na wieczornym obiedzie pani Basia dalej draży temat długości pobytu w hotelu. Zwariować można, ale w sumie cóż się dziwić, ci państwo wcześniej mieli wykupioną ofertę z innego dużego biura które na przełomie września i października ogłosiło upadłość. Teraz musieli kupić nową ofertę, a pieniędzy stamtąd jeszcze nie odzyskali.

Na obiad dzisiaj bardzo dobrze uduszona wołowina, kotlety z kurczaka i spaghetti plus sałatki. Po obiedzie wracamy do pokoju, zza ściany słychać, że pani Basia nieubłaganie draży temat.

25.10.2006 (środa)

Poranek budzi się wśród gęstej mgły. Wstajemy na ostatnie śniadanie z jajek i twarogu. Dzisiaj już nikt nawet nie sprząta w pokojach. Zdecydowanie czas wracać do domu.

Po śniadaniu idziemy na ostatnie zakupy w Jasmina Ceter oraz do marketu po wina. Odwiedzamy również bazar aby kupić ostatni raz melony. W rządowym sklepie SOCOPA Paweł kupuje drewniany koszyk z drzewa oliwnego i podstawkę. Po zakupach z których zostały całe 3 dinary idziemy na spacer do mariny, a potem na plażę, aby po raz ostatni się wykąpać w ciepłym morzu i zażyć ostatnich promieni słonecznych. Z plaży udajemy się na małą przekąskę – czyli faszerowane kanapki po 1 dinarze. Mamy ostatniego dinara na wieczorną herbatę miętową. Po powrocie do hotelu pozostaje nam spakować nasze plecaki i poczekać na obiad. Na ostatni obiad oprócz kotlecików mięsnych, jest również podejrzana potrawka z owoców morza. Nie zamierzamy jej jeść, bo wygląda dość dziwnie. Zresztą to chyba jakieś krabiki z nóżkami.

Po obiedzie idziemy wydać ostatniego dinara na dwie miętowe herbaty, delektując się smakiem w znanej już nam kafejce. Po raz ostatni idziemy też pod mauzoleum, a potem udajemy się spać na parę godzin.

Tuż przed 1 w nocy dzwoni budzik i stawia nas na równe nogi. 20 minut później siedzimy w busie wraz z panią Basią i jej mężem, a także paroma osobami z innych hoteli. Jedziemy na lotnisko. Dobrze, że jest o przysłowiowy rzut beretem. Nasz busik jest jednym z pierwszych, więc szybko się odprawiamy, załatwiamy miejsca przy oknie i udajemy się do poczekalni. Czas do wylotu jakoś tak szybko mija. Ja sobie skrobię mój dziennik, a Paweł ogląda alkohole w sklepie bezcłowym i nawet coś kupuje. Na lotnisku ruch zerowy, zbierają się tylko osoby czekające na odlot samolotu do Polski. Punktualnie o 3:45 startujemy. Samolot będzie lądował najpierw w Krakowie, a potem poleci do Warszawy. Samolot pełny,

sami opaleni wczasowicze. Obok mnie siedzi pan Grzegorz, jego żona na szczęście dalej. W między czasie dostajemy posiłek – kurczaka z ryżem, a potem wszyscy drzemią. Tuż po 6 rano jesteśmy nad Krakowem i kołujemy nad rozświetlonym miastem. Temperatura na zewnątrz tylko 1 stopień. Po miękkim lądowaniu szybko wsiadamy do autobusu, który wiezie nas do budynku głównego. Uderza nas rześkie powietrze, żeby nie powiedzieć, że zimne. Senni pasażerowie dokonują odprawy, a potem czekamy na bagaże. W pewnym momencie ciszę przerywa głośny łoskot. Jednemu panu z tekturowego pudełka wypadają trzy tunezyjskie czerwone wina, które rozbijają się o podłogę. I tyle pozostało z wina zakupionego w sklepie wolnocłowym za 10 Euro na lotnisku w Monastirze. Dalsze oczekiwanie na bagaże umiła zapach owego wina. W końcu wyjeżdżają nasze bagaże, odbieramy je, a następnie słynną kolejką, która bardzo często się psuje, jedziemy do centrum Krakowa, skąd autobusem zmęczeni wracamy do domu...